Nr. 25. Lwów, Niedziela dnia 17. Lutego 1878 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 49 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

†

PIUS IX.

Śmierć Piusa IX w całym świecie katolickim wywołuje szczere objawy żalu i smutku. Nawet przeciwnicy Syllabusa i dogmatu o nieomylności papieskiej uchylają ze smutkiem i uszanowaniem głowy przed zwłokami szlachetnego starca, którego życie tyle miało w sobie tragiczności, a którego śmierć przypadła na chwilę takiego zamętu politycznego.

Naród polski ma szczególne powody do żalu i smutku na wieść o śmierci Piusa IX. Papież ten we wszystkich wystąpieniach, dotyczących narodu polskiego, okazywał się troskliwym i czułym jego opiekunem. W ostatnich czasach stanowisko zajęte przez Piusa IX względem Polaków było powodem zupełnego zerwania stosunków między rządem moskiewskim a Stolicą apostolską. W granicach państwa niemieckiego, broniąc praw kościoła, bronił Pius IX zarazem praw narodowości polskiej.

Jan Marya hr. Mastai-Ferretti, urodził się 13 maja 1792 r. w Sinigaglia w państwie kościelnem. Młodzieńcem będąc miał zamiar wstąpić do gwardyi szlacheckiej, ale wątłe zdrowie, które nie zdawało się zapowiadać tak długiego życia, skierowało go w inną stronę: wstąpił do stanu duchownego i już 1819 wyświęcony został na kapłana. W r. 1823 wysłany był, jako misyonarz, do Chili, zkąd powróciwszy, został naprzód kanonikiem, potem arcybiskupem spoletańskim, wreszcie w r. 1840 kardynałem. Po śmierci Grzegorza XVI kolegium kardynalskie obrało go jednomyślnie papieżem 16 czerwca 1846.

W chwili, gdy Pius IX zasiadał na stolicy Piotrowej, całą zachodnią i środkową Europą wstrząsały już przed-rewolucyjne dreszcze. We Włoszech już przeszło od dwudziestu lat pracowano nad dziełem oswobodzenia narodu włoskiego. Zdawało się, że wybiła ta chwila szczęśliwa. Oto namiestnik Chrystusa, naczelnik kościoła katolickiego, stanął był na czele narodowego i liberalnego ruchu, ogłosił powszechną amnestyę, nadał państwu swemu konstytucyę, i od razu stał się ulubieńcem i nadzieją całych Włoch. Ale szczere chęci, szlachetne zamiary natrafiły na tyle przeszkód zewnętrznych i wewnętrznych, tak się łamały długo i bezskutecznie, z jednej strony z rządem austryackim, z drugiej z reakcyjnem otoczeniem, że Pius IX zrzekł się patryotycznego stanowiska obrońcy Włoch, salwując stanowisko głowy kościoła. Porzuconą przez papieża misyę podnosi dom sabaudzki, i odtąd Pius IX musi aż do końca życia walczyć z ideą, której przedtem sam był rycerzem, musi jako naczelnik państwa kościelnego, następca Grzegorzów i Innocentych, nieugięty opór stawić temu, czemu jako dobry Włoch w najgłębszych zakątkach serca nie mógł nie współczuć, to jest dziełu jedności i niepodległości włoskiej.

Na tem to właśnie polega głęboka tragiczność tej postaci. Każda tragiczność obudza współczucie, jeżeli zaś do niej dodamy osobiste przymioty Piusa IX, jak łagodność, wdzięk ujmujący w obcowaniu, to wytłómaczymy sobie urok, jaki postać Piusa IX wywierała na tych, którzy go odwiedzali.

Ostatnie koleje życia „watykańskiego więźnia“ nadto są świeże i znane, aby je potrzeba było przypominać. Musimy jeszcze tylko zwrócić na to uwagę, że opór stawiany przez tego papieża liberalnym i narodowym dążnościom Włoch nie płynął z nieubłaganego fanatyzmu. Pięknem świadectwem tego było zachowanie się papieża względem umierającego Wiktora Emanuela, to jest zezwolenie aby „wyklęty“ król po katolicku mógł umrzeć i być pochowanym.

ŁUSIA BURLAK.

NOWELLA

SEWERA

na tle najprawdziwszych faktów osnuta.

(Ciąg dalszy).

II.

Mijały dnie niby podobne do siebie a przecież pełne niespodzianek, radości i smutków, udręczeń serca oczekiwaniem i uśmiechów z tryumfów i powodzeń!

Mijały dnie jak lekkie westchnienia, a zajęcia tak różne, a nawał pracy tak wielki, że życie ciągnęło się w trwodze, czy tylko czas wystarczy? Godziny uciekają, za niemi dnie, pory roku i lata...

Batalia pod Sadową wpłynęła na losy państw i ludzi, dlaczegożby nie miała wpłynąć i na losy Łusi Burlak. Otóż wpłynęła.

Polecono zakładać po gminach szkoły, skutkiem czego we wsi Myszkowie zjawił się Władysław Toga. Wąsy jego wysmarowane groźnie sterczały po nad ściągłą i czerwoną twarzą, niebieskie oczy wypukłe i okrągłe, patrzały na świat ciekawie i melancholijno naiwnie.....

Przybyły profesor nie był uczonym, pomimo, że się Togą nazywał, posiadał jednak dość wiadomości, aby się stać ważną figurą we wsi.

Oprócz nauczania w szkole, dzierżył pisarstwo w gminie, został ajentem towarzystwa asekuracyjnego i jeometrą, albowiem umiał mierzyć łańcuchem i znał się na busoli. Tyle godności w jednem ręku, a wszystkie intratne, postawiły Togę u swoich i obcych wysoko.

I stałby długo, długo, gdyby nie *gdyby*, o które zwykle rozbija się cisza życia i tworzy się dramat.

Zbudowano szkołę, sporządzono listę dzieci, zadzwoniono w sygnaturkę, i rozpoczęła się nowa era dla wsi i gminy Myszkowa.

Pierwszą klasę objął ksiądz wikary Dyonizy, powszechnie nazwany Dyzią z powodu drobnej budowy, przyjemnego układu i skromności. W drugiej klasie stanął twardo Toga. Z katedry spojrzał po zgromadzeniu. Po jednej stronie siedzieli w ławkach chłopcy, po drugiej dziewczęta. Toga stał, patrząc się ciekawie i naiwnie... dopóki nie zobaczył w jednej z ostatnich ławek czarnookiej dziewczynki o złotych włosach. Biała i rumiana, jako krew z mlekiem, a uśmiechnięta. Ubrana w grana-

towy spencerek, a na nim świecące guziki, niby złote.

Toga przeczytał listę i dowiedział się, że ładnej dziewczynie na imię Łucya, a nazwisko Burlak, że miała lat 13cie skończonych, i że jest gospodarską córką. Toga zamyślił się, wziął skrzypce nastroił i zagrał, po czem próbował głosów dzieci i znów dowiedział się, że Łusia Burlak ma ładny i dźwięczny głos, a białe zęby.

Dziewczyna śmiało patrzała w profesorskie oczy, z naiwnością dziecka i z zalotnością nieświadomą swych czarów.

Profesor pod wpływem spojrzeń dziewczęcia zarumienił się, poprawił sterczące wąsy i zawołał:

— Uważać!

Przyszła kolej na czytanie. Wywołana Łusia Burlak czytała płynnie, przytomnie, a nawet z pewnym wdziękiem i cieniowaniem.

Profesor przez czas czytania wytrzeszczał jak zając swoje oczy i zadumał się głęboko. Czarne oczy dziewczynki świdrowały mu serce swemi promieniami.

Toga posmutniał, spoważniał i co raz więcej stawał się naiwniejszym... pomimo, że znał się na busoli i przyrzekł dzieciom balon puścić.

Po lekcyi, gdy Toga marzy o czarnych oczach dziewczynki, porównując wielkość swą, powagę i stanowisko z małym robaczkiem pełzającym po ziemi, nazwanym Łusią Burlak, serce mu się ściska, oburzenie rumieni twarz, a uporna myśl jak na złość, wywołuje obraz dziewczęcia; na wsi nieustająca opozycya manifestowała się szmerem niezadowolenia, głośnemi wykrzyknikami w karczmie i obfitym ubytkiem piwa i wódki na propinacyi.

Niektórzy gospodarze, zazdroszcząc rozumu dzieciom, obawiając się, aby synowie nie byli mędrsi od ojców, uznali naukę za niekoniecznie potrzebną, uczącą dzieci próżniactwa. Gospodynie tęskniły za córkami, za ich wyręką w gospodarstwie i głośno manifestowały przeciw szkole, upijając wódkę z kieliszków drobniutko, a raźno, jak się patrzy i jak przystoi na uczciwe i delikatne niewiasty. Bo tylko chłop łyka półkwaterek od razu!

Dla tych to opinii, profesor szanowany jako pisarz gminny i jeometra, — jako nauczyciel uważany był za niepotrzebny sprzęt w gminie.

Skutkiem podobnych pojęć i z nich powstałej opozycyi, liczba uczących się dzieci w pierwszych tygodniach otwarcia szkoły zmiejszyła się do połowy i coraz więcej topniała.

Napróżno nawoływał kanonik z ambony, napróżno ksiądz Dyzia obiecywał obrazki pilnym, i gdyby nie zagrożenie egzekucyą Rady powiatowej i starostwa, szkoła w krótkim czasie stałaby pustką.

Strach przed egzekucyą i pewne upamiętanie przemogły, dzieci wróciły, a z niemi i Łusia. Profesorowi oczy zaświeciły a wąsy nasrożyły się, jak kotowi. Łusia wróciła uśmiechnięta w białej chusteczce na głowie, patrzała na profesora czarnemi oczami, pokazując białe zęby, jak perły, z po za korali ust, lub jak gdyby wykrojone były z sera zjadanego co dzień przez Łusię.

Toga zarumienił się, oczy wytrzeszczył i jąkać się zaczął, z czego powstał szmer w klasie, dziewuchy zaczęły się cicho śmiać, profesor wpadł w gniew wołając: uważać.

Tak się zakończyło powtórne spotkanie. Łusia nad swój wiek była wysmukła i sformowana, profesor — również nad swój — naiwnym i skromnym. Dziewczynka coś przeczuwała, czegoś się domyślała, coś jej się po głowie i sercu majaczyło, jednak dokumentnie nie mogła odgadnąć, co profesor cierpi do niej, i co się dzieje w profesorskiem sercu, gdyż dziewucha czekając na dziesięciu gospodarskich synów, zawsze myślała o Staszku i często się z nim widywała.

A Toga o czemże myślał, pomimo swej powagi i przeświadczenia o powołaniu kapłańskiem nauczyciela i jego godności? Toga chociaż się gniewał na siebie za sprofanowanie stanowiska swego, zajęty dziewczyną, myślał o niej. Czytywał on dla rozerwania smutku pożyczane z księgarni w Bochni książki. Oprócz „Czerwonego płaszcza bandyty, czyli utajonej zemsty“ i „Rodina, czyli ducha na drodze pokuty i prawdy“, czasami dostawał i powieści Kraszewskiego wraz z Korzeniowskim. Wpadły mu w ręce „Ułana“ i „Ostap Bondarczuk“, siebie wziął za Ostapa, brakło mu tylko hrabiego, jego syna i studyów akademickich, Łusię za „Ułanę“. Długo rozważał o podobieństwie sytuacyi i postanowił się poświęcić dla dobra ludu, czyli ożenić się z ładną i młodą dziewczynką, wziąć siedm morgów gruntu w posagu, trzy krowy, osła, przyodziewek i korale za dwa sta!

Po tem postanowieniu, profesorska mość spuściła głowę na piersi i wzdychała głośno, lecz nie bardzo ciężko i nareszcie wsadził cylinder na głowę, (zwracam uwagę czytelników, że profesor dla wielkiej powagi, chodził po wsi w cylindrze) i poszedł do wójta, przy boku którego sprawował urząd pisarza.

Z domu wójta przenieśli się obaj do propinacyi, usiedli za stołem i pili piwo. Rozmowa toczyła się parę godzin.

Wójt zaprzeczał, tłumaczył, wydziwiał, wszystko napróżno. Profesor odpiął surdut, wyjął pulares i wyciągnął z niego sześć stówek, pokazał je wójtowi i schował. Wójt wzruszył ramionami i umilkł.

Rezultatem narady było, że Toga postawił na stole butelkę miodu, którą wójt wsunął do kieszeni kapoty i poszedł do domu Burlaków. Profesor go odprowadził pod samą chatę, sam wrócił do siebie zamyślony i rad z rodzaju swego poświęcenia.

Wójt wszedł do izby, pochwalił Chrystusa Pana, odpowiedzieli mu Burlakowie i Łusia odpowiedziała, wyjął miód, podano kieliszek, wójt przepił miodem do Burlaka, gospodarz do gospodyni, Burlakowa łykała po troszeczku pięć razy, nalała pół kieliszka i dała Łusi. Wtedy wójt mrugnął na Burlakową i pokazał na Łusię, co zrozumiawszy gospodyni wyprawiła dziewuchę do Zosi Bartyzelki.

Łusia, domyślając się czegoś ważnego, stanęła na dziedzińcu, spojrzała przez okno do izby, a widząc giestykulującego wójta, odchyliła po cichu drugie okno, i przez nie wsunęła się do komory, dopadła drzwi i podsłuchiwała.

Nie mogła wszystkiego usłyszeć, podchwyciła jednak tyle, że o jej losie toczyła się rozmowa. Wójt nalegał, ojciec stawiał opozycyę, matka się chwiała. Dziewczynka domyślała się, że w całej tej sprawie profesor główną rolę odgrywał, o co jednak chodziło, nie była pewną.

Nareszcie po długiej chwili ciszy, Burlakowa odezwała się:

— Niech jedzie, może sobie Staszka z głowy wybije. Mam dziewuchę marnować za wyrobnika, to już niech pójdzie i za tego profesora.

— Gadanie, i gadanie — rzekł Burlak — dziewucha zrobi to, co jej ojcowie przykażą.

— A juści, że zrobi — pochwyciła Burlakowa — ino wszyscy już wiedzą, że za Staszkiem goni, i żaden z gospodarskich synów nie przyjdzie.

— Otóż za Zawrzykraja nie pójdzie — krzyknął podchmielony Burlak, bijąc pięścią w stół.

— Nie pójdzie — poświadczył filuternie wójt.

— A to niech jedzie do klasztoru — dokończyła gospodyni.

Na ostatnie słowa ścisnęło się serce Łusi, że mało nie upadła. Ona do klasztoru, a klasztor wyobrażała sobie, jako ciemne więzienie, usiadła na łóżku i zaczęła cicho płakać. Łzy krótko trwały, obtarła je i znów zajrzała przez szparę drzwi. Wójta nie było. Gospodyni przystawiła do ognia garnek z wodą, a ojciec oparłszy głowę na ręce dumał.

Trzeba było wyjść, aby czasem matka nie zajrzała do komory, wyszła po cichu, przymknęła okno i pobiegła do Zosi Bartyzelonki, myśląc sobie przez drogę, że może spotka Staszka, a wtedy powie mu wszystko.

Gdy wróciła, zastała w izbie wójta i profesora. Matka rozlewała ugotowaną w garnku herbatę, profesor kładł w szklanki cukier, a wójt dolewał araku.

Łusia drzwi otworzyła, a zobaczywszy profesora chciała uciekać.

— Łusiu — zawołała matka — a nie uciekajże od ludzi.

Zarumieniona Łusia weszła i schowała się za matkę. Profesorskie policzki również okryły się szkarłatem, oczy, zdawało się, wyskoczyły na wierzch. Toga wstał, spojrzał się naiwnie, niewinnie się uśmiechnął i usiadł. Wójt podał mu szklankę herbaty z jedną łyżeczką, jaka była w izbie, profesor zamięszał, wyjął i podał ją wójtowi, popijając zmięszany płyn, czarny i gorący, słodki a mocny.

Pili szklanka po szklance, mówiąc o wielu rzeczach, tylko nie o Łusi i nie o klasztorze. Dziewczynka zaczęła przypuszczać, że się jej przesłyszało, gdy wtem matka, mając już zaprószoną głowę trunkiem, zaczęła płakać i całować Łusię, zawodząc po cichu:

— Moja ty sieroto, pójdziesz od matki w świat między ludzi...

— Nie będzie jej nic — przerwał rozczulenie i matczyne skargi wójt.

— A przecież bez mała za rok, albo dwa, wróci — dodał Burlak.

Wójt zaczął mrugać na profesora, aby skorzystał z tak szczęśliwego rozczulenia rodziny i zdobył się na krok stanowczy. Profesor po raz drugi powstał, uśmiechnął się słodko i oczy wytrzeszczył, postąpił dwa kroki naprzód, chciał coś przemówić otworzyl usta, gdy w tem Łusia wybuchła płaczem.

— Ja nigdzie nie pójdę od matusi — zawołała zalewając się łzami. W tej chwili przesunął się przed oczami dziewczynki Staszek.

— Abo ja bym cię wydała na poniewierkę, moje dziecko — mówiła dalej żałośnie matka. — A toż ty będziesz mieć wełniane sukienki, i z pańskiemi dziećmi jadać będziesz.

— Ja niczego nie chcę — szepnęła Łusia wśród płaczu — ino w domu zostać.

— I na Staszka w opłotkach czekać! Dam ja ci wystawać z tym dziadem.

To powiedziawszy Burlak, uderzył z całej siły pięścią w stół, tak, że aż szklanki na stole zabrzęczały.

W odpowiedź, Łusia powtórnie wybuchnęła płaczem, profesor nie rozumiejąc co to ma znaczyć, oczy wytrzeszczał, a matka tuląc Łusię, zamieniła z wójtem znaczące spojrzenia. Burlak jako dobrze pijany, był wykluczony od wszelkich porozumień.

— Cichobyście byli gospodarzu, ino mi dziewuchę straszycie, że się biedactwo może choroby nabawić — mówiła pani Burlakowa głaszcząc i pieszcząc faworytkę.

Burlak miał miękkie serce i tkliwy był na łzy, dodał więc pół-głosem:

— Niech nie wydziwia, tylko słucha, a z tym dziadem się nie zadaje, bo jak go spotkam, to go jeszcze uśmiercę na miejscu.

Łusię przeszły ciarki ze strachu i przerażenia.

Arak się skończył, a więc i herbaty nie stało, wójt, co miał tęgą głowę, wziął profesora pod ramię i wyprowadził z izby.

Profesor miał jeszcze tyle przytomności, że spytał się wójta o owego Staszka, na co mu wójt odpowiedział:

— Zwyczajnie dzieci, i to głupie i tamto nie mądre. Jak to między dziećmi, a Burlak się upił i plótł, sam nie wiedział co.

Poważny Toga w naiwności swej uważał kwestyą za wyjaśnioną. Lecz Łusia, biedna Łusia, ona się miała za tak nieszczęśliwą, że i zasnąć nie mogła.

Jeżeli zostanie w domu, to ojciec zabije Staszka. Zabije! serce jej się ścisnęło, buzię z rozpaczy przycisnęła do poduszki... Teraz dopiero poznała, jak go kochała, tak mocno, żeby go nie oddała za dziesięciu gospodarskich synów.

Cóż było począć w tem utrapieniu, jak niepowiedzieć Staszkowi, aby od niej uciekał! Czuła, że nie mogłaby mu powiedzieć tego strasznego wyroku, a tu ojciec go zabiją!...

Niech co chce będzie, nie ma innej rady tylko uciekać, uciekać na kraj świata nawet do klasztoru. Łusia postanowiła się poświęcić. Natury słowiańskie są nader skłonne do abnegacyi, którą rade nazywają poświęceniem, aby niem pokryć swoje niedołęstwo, brak energii i wytrwałości. (C. d. n.)

STUDYA HISTORYOZOFICZNE

TADEUSZA KORZONA.

VICO.

III.

Uwagi krytyczne.

(*Ciąg dalszy.*)

Przesadnie są postawione tezy XCVII, XCVIII o przesuwaniu się pierwotnych ludzi z gór ku morskim wybrzeżom. Antropologia przedhistoryczna znajduje najdawniejsze po człowieku zabytki w jaskiniach Francyi, Belgii, Niemiec i Brytanii, w okolicach nie należących do wielkich łańcuchów gór, na bagnistych włoskich dolinach, na szwajcarskich jeziorach, na niskiem duńskiem wybrzeżu, na równinach wschodniej Europy; pierwsze znane społeczeństwa historyczne (Egipt, Chaldea) ukazują się właśnie w krajach niskich na brzegach rzek, kraje zaś górzyste jak Medya, Persya przychodzą znacznie później do życia dziejowego. Wogóle przeważa obecnie zdanie, że najstarożytniejszemi były cywilizacye potamiczne czyli nad brzegami rzek powstałe. Z uśmiechem też czytają się podane przez Vico przyczyny kolonizacyi; uciekanie przed zwierzętami i ściganie kobiet.

Początki wiar, języków, prawa mniej odbiegają od sfery dzisiejszych pojęć; my zresztą musimy w tej materyi poprzestawać też na hypotezach. Jeżeli przypuszczenie Vico o pierwotnej mowie wierszowanej i śpiewanej wydaje się nam przesadnem, to przecież sama treść hypotezy zasługuje dziś jeszcze na poszanowanie Nasi myśliciele stawią też domysły, że pierwotnie człowiek naśladował śpiew ptaków, że mowa wierszowana poprzedzała prozę, tego dowodzi najwidoczniej historya literatury greckiej; cały zaś ustęp o przewadze wyobraźni, o przenośniach etc., może być powtórzony w każdej książce, dziś idącej pod prasę.

Szczególnie zdumiewającym jednak jest, stworzony przez Vico aparat krytyczny. Zaczynając od znakomitych tez XII i XIII, gdzie za punkt wyjścia podaje się spólność idei u rozmaitych ludów a za sprawdzian badań, „ogólne poczucie rodzaju ludzkiego“ i przechodząc do szczegółowych zastosowań w rozbiorach poezyi, historyi, prawodawstw Grecyi i Rzymu, przejęci jesteśmy podziwieniem. Jakiejże to potrzeba siły umysłu, żeby przy tak małym zasobie faktów wysnuć III. księgę o Homerze, który przecież w XIX wieku był długo przedmiotem walki ze szkołą Wolffa, żeby traktować Liwiusza prawie tak samo, jak my go traktujemy, żeby zwalić bajeczną historyę Rzymu na sto lat blisko przed Niebuhr'em,*) żeby uporządkować prawo rzymskie prawie tak samo jak Puchta w Cursus de Institutionem, żeby się odważyć na postawienie 10ciu punktów, z których każdy może być dosłownie prawie przyjęty przez dzisiejszą naukę.

Nie zatrzymując się nad świetnym pomysłem wszechludzkiego słownika, co zresztą jest najwyższem dążeniem naszych lingwistów, boć usilnie pracują oni nad odtworzeniem pierwotnego języka Aryów; zwrócimy szczególną uwagę na zapowiedziany w tezie XIII, bliżej scharakteryzowany w tezach LXVI—LXVIII, a całkowicie rozwinięty w samym tekscie pomysł filozofii historyi czyli „wiekuistej idealnej historyi“, jak sam ją nazwał.

Ma być ona na faktach opartem przedstawieniem wyroków opatrzności, według których ta wielka społeczność rodzaju ludzkiego bez własnej wiedzy i rady, a częstokroć wbrew zamiarom samychże ludzi rządzoną była. „Prawa jednak, przez opatrzność nadane, pozostaną powszechnemi i wiekuistemi“. Określenie jest wyborne, o to też właśnie i nam teraz idzie. Wypada tylko skontrolować, o ile takie określenie przez fakta popartem i udowodnionem zostało.

Środek ciężkości całej teoryi zawiera się w księgach: III, gdzie jest nakreślony przebieg życia pojedyńczych ludów (Corsi) i IV, gdzie podane są zwroty ludzkości ku dawnym stanom (Ricorsi).

Prawem zasadniczem dla rozwoju ludzkości jest przejście jej przez trzy stany, trzy okresy: boski, bohaterski i ludzki. Zróbmy na początku zastrzeżenie, że treściwego syntetycznego określenia tych wyrazów ani też granic, dzielących te okresy, chociażby w świecie Greko-Italskim, Vico nie podał. Szczególnie chwiejnem jest pojęcie okresu bohaterskiego, gdyż figurują w nim postacie mytyczne lub utwory poezyi jak Achilles, Ulysses, Junona, obok senatu rzymskiego z czasów rzeczypospolitej, patrycyuszów i optimatów lub feudalnych baronów.

Dalej poprzestając na ogólnem acz nie jasnem wrażeniu, jakie na umyśle pozostawia zbiór cech szczegółowych i godząc się z pewnemi zastrzeżeniami na trzy pierwsze cechy o przeobrażeniu się natury, obyczajów i prawodawstwa u ludów pojedyńczych, utykamy znowu w 4tym punkcie na kamień obrazy. Vico przyjmuje za rzecz dowiedzioną kolejne istnienie trzech (chociaż sam wyliczył cztery) form rządu: teokratycznej, arystokratycznej i demokratyczno-republikańskiej lub monarchicznej. Wracając niejednokrotnie do tej ulubionej myśli, polemizując nawet z Bodin'em, zawsze czerpie dowody albo z kombinacyi metalicznych, albo też z dziejów Rzymu. Napomykając pobieżnie o nowożytnych ludach twierdzi, że Europa za jego czasów znajduje się już lub dąży jeszcze do stanu monarchii, ale fazy demokratycznej nie dostrzega. Zwolniliśmy go z odpowiedzialności za nieznajomość historyi Wschodu, wszakże sam charakter ogólny znanej mu tradycyi o Egipcie, Assyryi, Babylonie, Fenicyi, Chinach mógł ostrzedz go o błędzie. Zresztą jeśliby nie omijał tak bojaźliwie Hebreów i nie wyosobnił ich z łona ludzkości, toć ujrzałby zapewne niemożność zastosowania do nich formy arystokratycznej, ani demokratycznej, ani nawet monarchicznej w tem znaczeniu, jak ją pojmował.

Tak samo musimy odrzucić cechy 5tą i 6tą o mowie niemej, wojennej i członkowanej oraz o trojakiem piśmie naprzód dlatego, że widoczną tu jest przesada w tłumaczeniu obrzędów starożytnego prawa rzymskiego, a potem, że pismo właściwie hieroglificzne było tylko w Egipcie, u ludów semityckich w pierwotnych kształtach pisma klinowego dają się dostrzegać zaledwo słabe ślady znaków obrazowych, u ludów zaś aryjskich widzimy tylko alfabety, których litery wyrażają nie przedmioty lecz dźwięki. W samym Rzymie z okresu nawet boskiego przechowały się przecież całe frazesa np. prawa królewskie (zebrane przez Dirksen'a), świadczące że i wtedy Rzymianie mówili za pomocą dźwięków członkowanych, a skoro nauczyli się pisać, zaraz używali liter mało różniących się od późniejszego pisma. Zresztą Vico stanął w sprzeczności z samym sobą, z tezami LVIII—LX.

Pomijamy cechy 7, 8, 9 jako zbyt abstrak-

*) Wywody Niebuhr'a i metoda jego tak są podobne do wywodów i metody Vico, że czytelnik niewątpliwie podzieliłby domysł Ferrarego (Vico et l' Italie str. 432) iż autor sławnej „Historyi rzymskiej“, biegły w poszukiwaniach bibliotecznych znał „Nową naukę“. Schwegler wszakże zapewnia opierając się na świadectwie Savigny'ego w jego Vermischte Schriften IV, 218, że o teoryach Vico dowiedział się Niebuhr znacznie później po ukończeniu własnej pracy (Schwegler Röm. Gesch. Tübing 1853 B. I, I. Abthg. str. 146). Twierdzenie to jest poparte wykazem różnic tak w ogólnym układzie teoryi (tamże str. 137, 138), jakoteż w szczegółowych ustępach (np. o Eneaszu, tamże str. 280) etc.

*

cyjne i od poprzednich zależne, co do 10tej zaś, widzimy że zawiera wyborną charakterystykę prawa cywilnego rzymskiego, ale powierzchownie tylko daje się zastosować do praw germańskich, np. w instytucyi „sądów bożych“, a jeszcze mniej do słowiańskich, że już nie wspomnimy o wschodnich, nigdzie bowiem na Zachodzie nie napotykamy ani rzymskiego sacratio capitis, ani ścisłości formuł prawnych. (Dok. nast.)

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY
PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XXIII.

Traktujący o wypadku wielkiej wagi, który wywołuje wzruszenie w całej kolonii.

Dnia 23. marca we trzy godziny po zachodzie słońca, księżyc ukazał się w stronie przeciwległej i mieszkańcy Galii mogli przekonać się, że wchodził już w ostatnią swoją kwadrę.

A więc w ciągu czterech dni satelita Galii przeszedł z syzygii do kwadratury, co stanowiło tygodniowy prawie okres jego widzialności i co zatem idzie lunacye piętnasto lub szesnastodniowe. Więc dla Galii miesiące księżycowe zmniejszyły się o połowę, tak jak i dnie słoneczne.

We trzy dni potem, 26go, księżyc wszedł w łączność z promieniami słońca i znikł w jego światłości.

— Czy powróci?—powiedział Ben-Zuf, który ponieważ pierwszy uwiadomił o pojawieniu się satelity, bardzo się nim interesował.

I doprawdy, że po tylu fenomenach kosmicznych, których przyczyny nie znali jeszcze mieszkańcy Galii, spostrzeżenie poczciwego Ben-Zufa nie było bezwzględnie bezużytecznem.

Dnia 26go pogoda była bardzo piękna, atmosfera bardzo sucha, termometr spadł na dwanaście stopni.

W jakiej odległości znajdowała się podówczas Galia od słońca? jaką drogę przebiegła po swej orbicie od daty wskazanej w ostatnim dokumencie znalezionym w morzu? Żaden z mieszkańców Galii nie mógł tego powiedzieć. Pozorne zmniejszenie się kręgu słonecznego nie mogło już służyć za podstawę rachunku, nawet przybliżonego. Żałować należało, że bezimienny uczony nie przesłał nowych notat, z ostatnimi rezultatami swoich spostrzeżeń. Kapitan Servadac zwłaszcza żałował, że ta szczególna korespondencya z jednym z jego ziomków — upierał się, że jest ziomkiem — nie ma dalszego ciągu.

— Z tem wszystkiem, — powiedział swoim towarzyszom,—bardzo być może, iż nasz astronom w dalszym ciągu pisywał do nas przez futerały i baryłki, ale że ani jedne ani drugie nie przybyły na wyspę Gurbi, ani na Gorącą Ziemię! A teraz, gdy morze ścięło się, trzeba się pożegnać ze wszelką nadzieją otrzymania najmniejszego listu od tego oryginała.

Morze, jak wiadomo, całkiem zamarzło. Przejście to ze stanu płynnego w stan twardy odbyło się podczas najpyszniejszej pogody i w chwili gdy najmniejszy podmuch wiatru nie poruszał wód galickich. Więc też stwardniała ich powierzchnia była najzupełniej gładką, jak powierzchnia jeziora lub staw klubu łyżwiarzy. Ani jednego wydęcia, ani jednej chropowatości, żadnej szczeliny! Był to lód czysty bez najmniejszej wody i rozciągał się po za krańce widnokręgu.

Cóż to za różnica z widokiem, jaki zwykle przedstawiają morza podbiegunowe przy wybrzeżach! Tam góry lodowe, odłamy natłoczone jedne na drugie grożące co chwila straceniem równowagi. Tak zwane pola lodowe są właściwie niewięcej jak nagromadzeniem kawałków lodu nieregularnie połączonych, które zimno utrzymuje w najdziwaczniejszych położeniach; są to góry o niepewnej podstawie, wznoszące się wyżej nad najwyższe maszty statków.

Nic niemasz stałego na tych morzach arktycznych, lub antarktycznych, nic tam nie masz niewzruszonego, nie z bronzu góry tam są ulane i lada powiew wiatru, lada zmiana temperatury, wywołują tam zmiany widoku wielce efektowne. Jestto jakby szereg czarodziejskich dekoracyi. Tu, przeciwnie, morze Galickie było w samej rzeczy ustalone i mocniej jeszcze aniżeli w chwili gdy przedstawiało powierzchnią wrażliwą na wiatr. Ogromna biała płaszczyzna gładszą była aniżeli równina Sahary, lub step — i zapewne nadługo. Na uwięzionych wodach morskich pancerz ten zgrubieje wraz ze wzmaganiem się zimna i twardość swą zachowa aż do odwilży... jeżeli odwilż kiedy nastąpi....

Majtkowie byli przyzwyczajeni do fenomenu zamarzania wód północnych, przedstawiających widok pola nieregularnie skrystalizowanego. Nie bez zdziwienia więc przypatrywali się temu morzu Galickiemu, gładkiemu jak jezioro — ale i nie bez zadowolenia, ponieważ lodowe pole, doskonale wygładzone, bardzo nadawało się do ślizgania. *Dobryna* posiadała mnóstwo łyżew, które rozdano amatorom, a tych nie brakło. Marynarze dawali lekcye Hiszpanom; i wkrótce przy pięknej pogodzie, przy zimnie ostrem, ale znośnem, ponieważ nie było wiatru, nie było ani jednego Galijczyka, któryby się nie ćwiczył w zakreślaniu najpiękniejszych linii. Mała Nina i młody Pablo wykonywali cuda jednając sobie huczne oklaski. Kapitan Servadac, zręczny we wszystkich zabawach gimnastycznych, dorównał wkrótce profesorowi swemu, hrabiemu. Sam Ben-Zuf wykonywał znakomite sztuki; ale też zresztą ślizgał się on nieraz na ogromnym stawie Montmartre, „także niby morzu.“

Ten rodzaj ćwiczeń, bardzo przydatnych pod względem zdrowia, stał się jednocześnie pożyteczną rozrywką dla mieszkańców Gorącej Ziemi. W razie potrzeby mógł on być środkiem do komunikacyi. I w samej rzeczy porucznik Prokop, jeden z najlepszych łyżwiarzów Galii, kilkakrotnie przeprawiał się w ten sposób z Gorącej Ziemi na wyspę Gurbi, to jest robił około dziesięciu mil w dwóch godzinach.

— Oto co na przestrzeni Galii zastąpi żelazne koleje starego świata, — mówił kapitan Servadac. — Właściwie mówiąc łyżwa jest nie więcej jak rodzajem relsa, przytwierdzonego do nogi ślizgającego się!

Tymczasem temperatura zniżała się stopniowo; termometr wykazywał średnio od piętnastu do szesnastu stopni niżej zera. W miarę jak ciepło tak się zmniejszało i światło malało również, jak gdyby krąg słoneczny był zamaskowany przez księżyc w cząstkowem zaćmieniu. Na wszystkich przedmiotach rozpościerał się rodzaj pół-cienia i smutne robił wrażenie dla oka. Było to też przyczyną moralnego zachmurzenia się, przeciw któremu należało oddziaływać. Jakże bo też ci wygnańcy z kuli ziemskiej, dotąd tak ściśle związani z ruchem ludzkim, nie mieli myśleć o samotności, która się dokoła nich rozpościerała? Jakżeby zapomnieli, że ziemia grawitując już w odległości milionów mil od Galii, jeszcze oddalała się od niej ciągle? Czy mogli przypuszczać, iż znowu zobaczą ją kiedy, zważywszy, że bryła oderwana od niej coraz bardziej zagłębiała się w przestrzenie między planetarne? Nic nawet nie dowodziło, że kiedyś opuści te przestrzenie, podległe władzy słońca, by przebiegać świat gwiazdzisty i poruszać się w atrakcyjnym zakręcie jakiego nowego słońca.

Hrabia, kapitan Servadac i porucznik Prokop, jedni tylko z całej galickiej kolonii mogli myśleć o tych ewentualnościach. Zresztą i towarzysze ich, nie zagłębiając się tak dalece w tajemnice i groźby przyszłości, doznawali tak samo jak oni, choć bezwiednie, skutków sytuacyi, nie mającej podobnej sobie w dziejach świata. Należało zatem pomyśleć o rozerwaniu ich, czy to oświecając, czy też zabawiając, i ćwiczenie w ślizganiu się zrobiło zbawienną dywersyę w jednostajnej pracy codziennej.

Gdy się powiedziało, że wszyscy mieszkańcy Gorącej Ziemi brali mniej więcej udział w tem zbawiennem ćwiczeniu, to rozumie się z wyjątkiem Izaaka Hakhabuta.

Pomimo surowej temperatury, Hakhabut nie ukazał się od czasu przybycia z wyspy Gurbi. Ponieważ kapitan Servadac surowo zabronił stosunków z nim, więc nikt nie odwiedzał go na *Hanzie*. Ale nie wielki dymek wylatujący z komina kajuty przekonywał, że właściciel statku ciągle przebywa na jego pokładzie. Kosztowało go to, bezwątpienia, że zużytkowywał własne paliwo, chociaż w najmniejszej ilości, gdy mógł bezpłatnie korzystać z ciepła wulkanicznego w Ulu Niny. Ale wolał ten wydatek, aniżeli rozstanie się z *Hanzą* dla podzielania wspólnego życia. Bo któżby w jego nieobecności czuwał nad cennym ładunkiem?

Zresztą *Hanza* i galiota urządzone były tak, iż mogły wytrzymać niebezpieczeństwa długiej zimy. Porucznik Prokop pilnie się tem zajmował. Należycie umocowane w zatoce, objęte teraz jej lodowym pancerzem obie były nieruchome. Ale zachowano tę ostrożność, że tak jak to czynią zimujący na morzach arktycznych, obrębywano lód do koła nich, tak że ten nie naciskał boków z narażeniem na zgniecenie. Z nadejściem odwilży można było spodziewać się, że oba statki znajdą się nieuszkodzone na powierzchni wód.

Morze Galickie było zatem teraz zamarznięte na całej swej przestrzeni i podczas ostatnich swych odwiedzin na wyspie Gurbi porucznik Prokop mógł przekonać się, że lód rozciągał się jak okiem zajrzeć na północ, wschód i zachód.

Jedno tylko miejsce tej przestronnej kotliny oparło się fenomenowi stwardnienia. Był to rodzaj stawu w dole głównej pieczary, do którego wylewał się strumień lawy gorącej. Tam woda była zupełnie wolną w swoich skalistych ramach, a lód tworzący się pod wpływem zimna natychmiast topniał przy ogniu. Woda syczała i ulatniała się przy zetknięciu z lawą i ciągłe wrzenie utrzymywało jej cząstki w stanie nieprzerwanego parowania. Mała ta część morza, zawsze płynna, pozwalałaby rybakom okazywać z powodzeniem

swą umiejętność: ale jak mówił Ben-Zuf ryba była tam zanadto dopieczona, by dać się złapać!

W pierwszych dniach kwietnia pogoda zmieniła się, niebo zasępiło, nie wywołując wszakże żadnej zmiany w temperaturze. Zniżanie się bowiem termometru nie zależało od szczególnej zmiany w atmosferze, ani od większej lub mniejszej ilości pary, jaką ta była nasycona. Nie działo się tak z Galią jak z innemi okolicami polarnemi kuli ziemskiej, ulegającemi niezbędnie wpływowi atmosferycznemu, a których zimy doznają pewnych zmian pod wpływem wiatrów, często zmieniających się. Zimno nowej sferoidy nie mogło spowodować ważnych zmian termometrycznych. Wynikało ono wogóle tylko z oddalenia się Galii od źródła wielkiego światła i ciepła i miało się wzmagać, aż dopóki nie dojdzie do granicy temperatury określonej przez Fouriera dla przestrzeni.

Około tego czasu powstała prawdziwa burza, burza bez śniegu i deszczu, lecz podczas której wiatr srożył się z gwałtownością niesłychaną. Wpadając przez ognistą oponę, zamykającą zewnątrz zagłębienie sali wspólnej, sprawiał on tam najszczególniejszy efekt. Bardzo trzeba było zabezpieczać się od lawy, którą wpychał do wnętrza. Ale nie było obawy, by ją zagasił. Przeciwnie, nasycając się oksygenem, huragan ten zwiększał jej rozpalenie, jakby ogromny wentylator. Czasami nacisk jego bywał tak gwałtowny, że płynna zasłona rozdzierała się na chwilę i zimne powietrze wpadało do sali, ale rozdarcie takie prawie w tejże chwili zamykało się, a odświeżenie powietrza było korzystnem.

Dnia 4 kwietnia księżyc, nowo pozyskany, zaczął oddzielać się od iradyacyi słonecznej w formie nowiu. Ukazywał się zatem poośmiodniowej prawie nieobecności, co można było przewidzieć z poprzednich obserwacyi. Obawy więc, mniej więcej uzasadnione, że go się już nie ujrzy, nie sprawdziły się, ku wielkiemu zadowoleniu Ben-Zufa. Nowy satelita zdawał się zdecydowanym odbywać punktualnie swą półmiesięczną obsługę Galii.

Jak przypominamy sobie, wskutek zniknięcia wszelkiej innej ziemi uprawnej, ptaki uniesione atmosferą galicką, schroniły się na wyspę Gurbi. Tam ziemia hojnie wystarczała na ich wyżywienie podczas ciepłych dni; tysiącami też widywano je przybywające ze wszystkich punktów asteroidy.

Ale z nadejściem wielkiego zimna, pola rychło pokryły się śniegiem, ten zaś rychło przemienił się w ścisły lód, nie dozwalający najsilniejszym dziobom dosięgnąć aż do gruntu. Więc nastąpiła powszechna wędrówka ptaków, które instynktem wiedziane, rzuciły się na Gorącą Ziemię.

Kontynent ten wprawdzie nie posiadał żadnej dla nich żywności, ale był zamieszkały. Zamiast uciekać przed człowiekiem, ptaki poczęły wtedy wyszukiwać go. Wszelkie śmiecie wyrzucane codziennie na zewnątrz galeryi, znikało w tejże chwili, ale wiele brakowało do tego by wystarczało na przekarmienie tysięcy indywiduów wszelkiego gatunku. Wkrótce nawet, naciskane zimnem i głodem, kilkaset sztuk odważyło się wejść w wąski tunel i obrać sobie siedzibę w Ulu Niny.

Znowu zatem należało rozpocząć polowanie, gdyż niepodobna było wytrzymać. Była to rozrywka w codziennych zajęciach i myśliwi małej kolonii nie próżnowali. Ilość tych ptaków była tak znaczna, iż wkrótce przybycie ich podobne stało się do napadu. Były tak wygłodzone i co za tem idzie tak żarłoczne, że pochwytywały kawałki mięsa a nawet chleba z rąk jedzących w sali. Odpędzano je kamieniami, kijami, nawet strzałami. Ale dopiero po całym szeregu walk zawziętych, zdołano uwolnić się po części od tych niewygodnych gości, pozostawiwszy wszakże kilka par dla rozmnożenia gatunków.

Ben-Zuf był wielkim urządzicielem polowania. Jak się rozrządzał! jak hałasował! Jakiemi żołnierskiemi przekleństwami obarczał nieszczęśliwe ptactwo! Ile go zjedzono w ciągu kilku dni, z tych gatunków co były do jedzenia przydatne, jak dzikie kaczki, kuliki, kuropatwy, bekasy, krzyki i t. d.! Można nawet przypuszczać, że myśliwi takie najchętniej zabijali.

Nakoniec porządek począł przywracać się w Ulu Niny. Było już nie więcej nad stu może interuzów, które pochowały się w otworach skały i trudno było wypędzić je ztamtąd. To też stało się, iż intruzy te w końcu poczęły poczytywać się za stałych lokatorów i innych tam już nie dopuszczać. Nastąpił zatem niby rozejm między stronami walczącemi o swe siedziby i za milczącą zgodą pozwolono upartym sprawować policyę miejscową. A jak się z tego wywiązywał!! Nieszczęśliwy ptak, który zabłąkał się w galeryi bez prawa i przywileju, bywał bezzwłocznie wygnany lub ukarany śmiercią przez nieubłaganych swoich współbraci po pierzu.

Dnia 15. kwietnia krzyki dały się słyszeć przy wejściu do głównej galeryi. Nina wołała na pomoc.

Pablo poznał jéj głos i wyprzedzając Ben-Zufa, pospieszył do małej swej przyjaciółki.

— Chodź! chodź! — wołała Nina — oni chcą mi go zabić!

Pablo, rzuciwszy się naprzód, ujrzał kilka morskich jastrzębi ścierających się z małą dziewczyną. Uzbrojony kijem rzucił się i rozpędził drapieżne stworzenia, nie bez tego by sam nie otrzymał kilka uderzeń dziobem.

— Co ci jest Nino? — zapytał.

— Patrz, Pablo — odrzekła młoda dziewczyna, wskazując na ptaka, którego tuliła do piersi.

Ben-Zuf, który nadszedł w tej chwili, wziął go z rąk dziewczyny i zawołał:

— To gołąb!

Był to w samej rzeczy gołąb, a nawet z rodzaju gołębi wędrownych, miał bowiem skrzydła lekko wycięte i zagięte na końcach.

— Ha! — zawołał Ben-Zuf — przez wszystkich świętych z Montmartre! on ma torebkę na szyi!

W kilka chwil potem gołąb był już w ręku kapitana Servadac i wszyscy, zebrawszy się w wielkiej sali, chciwie wpatrywali się w niego.

— Nadchodzą nam wiadomości od naszego uczonego! — zawołał kapitan Servadac. — Ponieważ morze nie jest już wolne, więc używa on ptaków dla swojej korespondencyi! O! gdyby tym razem podpisał się, a zwłaszcza dał swój adres!

Torebka była poczęści rozerwana podczas walki gołębia z jastrzębiami. Otworzono ją i znaleziono krótką notatkę, lakonicznie zredagowaną, tej treści:

„Galia.

Droga przebyta od 1 marca do 1 kwietnia: 39,700,000 m.!

Odległość od słońca: 110,000,000 m.!

Po drodze pochwycona Nerina.

Żywności poczyna braknąć, i...“

Reszta depeszy, poszarpana dziobami ptaków, była nieczytelną.

— O! przeklęte ptactwo! — zawołał kapitan Servadac. Widocznie musiał tam być podpis, i data, i miejsce zkąd pochodzi notatka. Na ten raz jest ona cała po francusku, więc pisał ją Francuz! I nie módz dopomódz temu nieszczęśliwemu!

Hrabia i porucznik Prokop poszli na pole bitwy, w nadziei że znajdą jakie szczątki powyrywane, które mogłyby naprowadzić ich na drogę... Poszukiwania ich były bezowocne.

— Czyż nigdy nie dowiemy się, gdzie jest ten ostatni żyjący człowiek? — zawołał kapitan Servadac.

— Ach! — krzyknęła w tej chwili Nina, — Zuf, popatrz no!

To mówiąc wskazała na gołębia, którego ostrożnie trzymała w ręku.

Na lewem skrzydle ptaka widocznym był odcisk mokrej pieczęci, a na niej wyraz najważniejszy, mianowicie — „Formentera...“

ROZDZIAŁ XXIV.

W którym kapitan Servadac i porucznik Prokop poznają nakoniec słowo tej kosmograficznej zagadki.

„Formentera!“ — zawołali prawie jednocześnie hrabia i kapitan Servadac.

Była to nazwa małej wyspy z grupy balearskiej, położonej na morzu Śródziemnem. Wskazywała ona dokładnie, jaki punkt zajmował podówczas autor dokumentów. Ale co tam robił ten Francuz, a jeżeli tam był, to czy żył jeszcze?

Widocznem było także, że Formentery uczony ten wysyłał rozliczne swe notaty, w których wskazywał kolejno położenie tego odłamu kuli ziemskiej, który nazwał Galią.

W każdym razie dokument, przyniesiony przez gołębia, przekonywał, że 1. kwietnia, to jest przed piętnastu dniami, był jeszcze na swojem stanowisku. Ale między tą depeszą i dokumentami poprzedniemi istniała ta ważna różnica, iż brakowało w niej wszelkich oznak zadowolenia. Nie było już „*Va bene! all right! nil desperandum!*“ Oprócz tego depesza, ułożona w języku francuskim, nadmieniała, że żywności poczynało brakować na Formenterze.

Uwagi te zrobione były w kilku słowach przez kapitana Servadac, który w końcu dodał:

— Moi przyjaciele! musimy bezzwłocznie podać pomoc temu nieszczęśliwemu!...

— Albo tym nieszczęśliwym — dodał hrabia; — kapitanie gotów jestem wyruszyć z panem.

— *Dobryni* widocznie przepływała koło Formentery, — rzekł wtedy porucznik Prokop — gdyśmy rozglądali miejsce dawniejszych wysp Balearskich. Jeżeli zatem nie dostrzegliśmy żadnej ziemi, to dlatego, że jak z Gibraltaru, jak z Ceuty tak i z tego archipelagu musiała pozostać tylko jakaś wysepka.

— Odszukamy ją, choćby była najmniejszą! — odrzekł kapitan Servadac. — Poruczniku! jak daleko z Gorącej Ziemi do Formentery?

— Około stu dwudziestu mil, kapitanie. Ale pozwól pan zapytać, jak zamierzasz odbyć tę drogę?

— Rozumie się piechotą — odrzekł Hektor Servadac — ponieważ morze nie jest już wolnem — na łyżwach! Prawda, hrabio?

— Ruszajmy, kapitanie — odpowiedział hrabia.

— Ojcze — przemówił wtedy porucznik Prokop — chciałbym zrobić ci jednę uwagę, nie dlatego, by ci przeszkodzić w spełnieniu powin-

ności, ale przeciwnie, aby lepiej zapewnić jej spełnienie.

— Mów, Prokopie.

— Wyruszycie z kapitanem Servadac. Owoż zimno jest nadzwyczajne; termometr spadł na dwadzieścia dwa stopnie niżej zera i panuje gwałtowny wicher południowy, sprawiający, że temperatura ta jest nie do wytrzymania. Przypuszczając, że będziecie robić po dwadzieścia mil dziennie, potrzeba wam będzie sześciu dni, by dostać się do Formentery. Oprócz tego potrzebna jest żywność nie tylko dla was, ale dla tych, czy dla tego, ku któremu spieszycie z pomocą...

— Pójdziemy z sakwami na plecach, jak dwaj żołnierze — odparł żywo kapitan Servadac, nie chcący widzieć trudności, ani niemożebności podobnej podróży.

— Niech i tak będzie - odpowiedział z zimną krwią porucznik Prokop. — Ale koniecznie potrzeba będzie kilkakrotnie wypoczywać w drodze. Owoż pole lodowe jest gładkie a nie będziecie mieć możności wyrąbania sobie schronienia w lodowcu na sposób Eskimosów.

— Będziemy biegli dzień i noc, poruczniku — odparł Hektor Servadac — i zamiast sześciu dni odbędziemy drogę we trzech dniach a może w dwóch!

— Niech i tak będzie, kapitanie! Przypuszczam, że przybędziecie za dwa dni na Formenterę — co jest fizycznie niemożebnem. Co zrobicie z tymi, których znadziecie na wysepce, upadających pod gruzem zimna i głodu? Jeżeli zabierzecie ich z sobą umierających, to na Gorącą Ziemię przywieziecie trupów!

Słowa porucznika Prokopa wywarły głębokie wrażenie. Niemożebność podobnej podróży w takich warunkach, jasno wszystkim stanęła przed oczyma. Widocznem było, że kapitan Servadac i hrabia, bez osłony na tem ogromnem lodowem polu, w razie gdyby nastąpiła śnieżyca i otoczyła ich zewsząd, upadliby, ażeby więcej nie powstać.

Hektor Servadac, uniesiony żywem uczuciem szlachetności na myśl spełnienia obowiązku, chciał opierać się rzeczywistości. Powstawał on przeciw zimnemu rozumowaniu porucznika Prokopa. Z drugiej strony wierny jego Ben-Zuf nie dalekim był od popierania go, oświadczając, że podpisze marszrutę ze swoim kapitanem, jeżeli hrabia wahać się będzie.

— I cóż hrabio! — zapytał Hektor Servadac.

— Zrobię to, co pan, kapitanie.

— Nie możemy opuścić podobnych nam ludzi bez pożywienia, a może bez przytułku...

— Nie możemy — odrzekł hrabia.

A potem, zwracając się do Prokopa — dodał:

— Czy nie ma jakiego innego środka dostania się na Formenterę, oprócz tego, który odrzucasz; użyjemy go, Prokopie, a Bóg nam dopomoże!

Porucznik, pogrążony w myślach, nie odpowiadał na zapytanie.

— O! gdybyśmy tylko mieli sanie! — zawołał Ben-Zuf.

— Sanie łatwo zrobić — odrzekł hrabia — ale gdzie znajdziemy psy lub renifery, któreby je ciągnęły.

— Czyż nie mamy dwóch koni, które można by podkuć? — zawołał Ben-Zuf.

— Niezniosłyby tej mroźnej temperatury i padłyby w drodze — odpowiedział hrabia.

— Mniejsza o to — rzekł wtedy kapitan Servadac. — Nie ma co wahać się. Róbmy sanie!...

— Są zrobione, — powiedział porucznik Prokop.

— A więc zaprzęgajmy je!...

— Nie kapitanie. Mamy motor silniejszy i szybszy, aniżeli pana dwa konie, które nie oprą się znużeniu podczas podróży.

— A tym jest?... — zapytał hrabia.

— Wiatr — odrzekł porucznik Prokop.

W samej rzeczy, wiatr! Amerykanie doskonale umieli zużytkować sanie z żaglami. Teraz współzawodniczą one z pospiesznemi pociągami kolei na rozległych równinach Unii i dochodzą do szybkości pięćdziesięciu metrów na sekundę, to jest stu ośmdziesięciu kilometrów na godzinę. Owoż wiatr w tej chwili silnie wiał od południa, mógł więc temu rodzajowi jazdy nadać szybkość od dwunastu do piętnastu mil na godzinę. Możebnem zatem było między dwoma wschodami słońca na horyzoncie Galii dostać się do wysp Balearskich, albo przynajmniej do jednej wysepki archipelagu, która ostała się po katastrofie.

Motor był gotów do działania. Dobrze. Ale Prokop dodał również, że i sanie były gotowe. W samej rzeczy czółno *Dobryny*, długie na dwanaście stóp i mogące pomieścić pięć do sześciu osób, czyż nie przedstawiało gotowych sani? Czyż nie dość było podłożyć pod nie dwie żelazne sztaby, któreby tworzyły łyżwy? A ile czasu potrzebował na to mechanik galioty? Co najwięcej kilka godzin. Natenczas po tem lodowem polu, tak doskonale wygładzonem, bez żadnej zawady, bez wypukłości i szczelin, lekki statek z żaglem, pędząc przy pomyślnym wietrze, czyż nie osiągnąłby niezmiernej szybkości? A przytem czółno mogło być przykryte rodzajem dachu z desek, podbitych grubem płótnem. Tym sposobem odsłaniałoby kierujących niem, i tych, którychby sprowadzono z powrotem. Zaopatrzone w futra, rozmaitą żywność, kordyały, mały przenośny piecyk ogrzewany spirytusem, znajdowało się ono w bardzo dogodnych warunkach dla dotarcia do wysepki i zabrania ztamtąd tych, którzy jeszcze będą przy życiu.

Nie można było wynaleść nic lepszego, ani praktyczniejszego. Jednę tylko uwagę można było zrobić.

Wiatr był pomyślny dla dostania się na północ, ale gdy potrzeba będzie powracać na południe?...

— Mniejsza o to! — zawołał kapitan Servadac — myślmy o tem, jakby tam się dostać! Potem pomyślimy o przyszłości.

Zresztą, jeżeli czółno nie mogło być kierowane sterem, jak statek, być może, iż poniekąd dałoby się nieco zwracać. W każdym razie żelazne podkucie zapewniało mu możność posuwania się naprzód. Być może, iż jeżeli wiatr nie zmieni się przy powrocie, uda się, lawirując, powrócić na południe. Zobaczymy to dalej.

Mechanik *Dobryny*, przy pomocy kilku majtków, zaraz wziął się do dzieła. Ku wieczorowi czółno podkute we dwa rzędy żelaznemi sztabami, zagiętemi od przodu, osłonięte lekkim dachem, zaopatrzone w żywność, narzędzia i kołdry, gotowe było do drogi.

Ale natenczas porucznik Prokop zażądał zastąpić hrabiego przy kapitanie Servadac. Z jednej strony czółno nie powinno było zabierać więcej nad dwóch pasażerów, z drugiej manewrowanie żaglami i przestrzeganie kierunku wymagało świadomości i ręki marynarza.

Hrabia upierał się, ale gdy kapitan Servadac począł nalegająco prosić, by zastąpił jego miejsce na Gorącej Ziemi, w końcu musiał przystać. Podróż zresztą pełną była niebezpieczeństw; wędrowcy narażeni być mogli na tysiączne wypadki. Dość było gwałtowniejszego nieco wiatru, by wątły statek nie zdołał oprzeć się; a jeżeli kapitan Servadac nie miał wrócić, to tylko jeden hrabia mógł pozostać naturalnym naczelnikiem kolonii. Zgodził się więc.

Co do zastąpienia własnego miejsca, to kapitan Servadac nie przystawał na to. Człowiek wzywający pomocy był niezawodnie Francuzem, więc do niego, francuskiego oficera, należało podać mu pomoc.

Dnia 10. kwietnia o wschodzie słońca kapitan Servadac i porucznik Prokop umieścili się w czólnie. Pożegnali swych towarzyszów, którzy mocno byli wzruszeni, widząc ich gotowych do puszczenia się na niezmierną białą płaszczyznę, wśród zimna przenoszącego dwadzieścia pięć stopni stustopniowych. Ben-Zufowi ścisnęło się serce. Majtkowie i Hiszpanie wszyscy chcieli uścisnąć rękę kapitana i porucznika. Hrabia przycisnął do piersi odważnego oficera i ucałował wiernego swego Prokopa. Serdeczny pocałunek małej Niny, której wielkie oczy z trudnością powstrzymywały łzy, zakończył tę rozczulającą scenę pożegnania. Potem rozpuszczono żagle — i czólno, jakby unoszone na ogromnych skrzydłach, znikło w kilka chwil po za horyzontem.

Czólno zaopatrzone było we dwa żagle, wielki i boczny, ten drugi dla robienia zboczeń w razie potrzeby. Szybkość nowego rodzaju pojazdu była bardzo wielka i podróżni obliczali ją najmniej na dwanaście mil na godzinę. Otwór urządzony na przodzie pozwalał porucznikowi Prokopowi wysuwać głowę, należycie osłonięta, nie bardzo narażając się na zimno, i za pomocą bussoli zmierzać w linii prostej ku Formenterze.

Ruch czółna był bardzo łagodny. Nie było tego nieprzyjemnego drżenia, które daje się uczuwać nawet na najlepszych żelaznych kolejach. Ponieważ ważyło mniej na powierzchni Galii, aniżeli na powierzchni ziemi, ślizgało się więc bez kołysania i wstrząśnień i dziesięć razy prędzej aniżeli na właściwym swoim żywiole. Kapitanowi Servadac i porucznikowi Prokopowi wydawało się czasami, że są unoszeni w powietrze, jak gdyby balonem przelatywali nad lodowem polem. Ale nie opuszczali go. Wierzchni pokład lodu kruszył się pod metalicznem okuciem czółna i po za nimi wznosił się kłębem kurz śnieżny.

Łatwo było wtedy przekonać się, że powierzchnia zamarzniętego morza wszędzie jest jednostajna. Ani jedna żywa istota nie naruszała samotności. To wywoływało szczególnie smutne wrażenie. Jednak wytwarzał się z tego i pewien rodzaj poezyi, który oddziaływał w rozmaity sposób na dwóch podróżnych. Porucznik Prokop robił spostrzeżenia jako uczony, kapitan Servadac jako artysta, dostępny wszelkim wzruszeniom. Gdy słońce zachodziło, gdy promienie jego, uderzając ukośnie o czółno, rzucały po lewej stronie cień ogromny od żaglów, gdy nakoniec noc zastąpiła nagle dzień, przybliżyli się jeden do drugiego, pod wpływem wzajemnego pociągu i ręce ich uścisnęły się w milczeniu.

Noc była zupełnie ciemna, gdyż księżyc był na nowiu dopiero od wczoraj, ale konstelacye błyszczały cudnem światłem na niebie, w braku busoli porucznik Prokop mógł był kierować się nową gwiazdą polarną, która jaśniała nad horyzon-

tem. Łatwo zrozumieć, że nie zważając na odległość, oddzielającą obecnie Galię od słońca, odległość ta była stanowczo mało znaczącą w porównaniu z niezmierną odległością gwiazd.

Co do tej odległości Galii, to ta była już znaczną. Ostatnia notata wyraźnie ją określała. O tem właśnie myślał porucznik Prokop, podczas gdy kapitan Servadac idąc za innym kierunkiem myśli, marzył tylko o tych swoich towarzyszach, do których śpieszył z pomocą.

Szybkość Galii wzdłuż jej orbirty zmniejszyła się o dwadzieścia milionów mil od 1go marca do 1go kwietnia, zgodnie z drugiem prawem Keplera. Jednocześnie odległość jej od słońca wzrosła o trzydzieści dwa miliony mil. A więc znajdowała się prawie w środku przestrzeni przebieganej przez planety teleskopowe, krążące między orbitami Marsa i Jowisza. Co przekonywało zresztą pochwycenie tego satelity, którym według notaty była Nerina, jedna z ostatnich asteroid niedawno odkrytych. A zatem Galia ciągle oddalała się od swego punktu przyciągającego, według prawa najdokładniej określonego. Owoż czy nie można było spodziewać się, że autor dokumentu dojdzie do obrachowania tej orbity i matematycznie określi epokę, w której Galia będzie w swojej afelii, jeżeli tylko posuwa się po linii eliptycznej? Punkt ten w takim razie wskazywałby maximum jej oddalenia i poczynając od tej chwili znowu zbliżałby się ku słońcu. Natenczas poznanoby dokładnie długość roku słonecznego i ilość dni galickich.

Porucznik Prokop rozmyślał nad wszystkiemi temi niepokojącemi zadaniami, gdy nagle te rozmyślania przerwał mu powrót dnia. Natenczas on i kapitan Sevadac odbyli naradę. Obliczając na sto mil mniej więcej drogę przebieżoną w prostej linii od chwili wyjazdu, postanowili zmniejszyć szybkość czółna. Więc żagle zostały w części zwinięte i pomimo wielkiego zimna dwaj wędrowcy poczęli rozglądać białą równinę z największą uwagą.

Była najzupełniej pusta, ani jedno wzniesienie nie przerywało jej jednostajności.

— Czy nie posunęliśmy się cokolwiek zanadto na zachód od Formentery? — rzekł kapitan Servadac, zajrzawszy na mapę.

— Bardzo być może — odrzekł porucznik Prokop — gdyż tak jakbym zrobił na morzu, trzymałem się wiatru od wyspy. Teraz nie pozostaje nam jak dać się unosić.

— Dobrze więc, poruczniku — odrzekł kapitan Servadac — i nie traćmy ani jednej chwili!

Czółnem manewrowano, by obrócić je ku północo-wschodowi. Hektor Servadac, nie zważając na ostre zimno, stał na przodzie. Całą swą siłęześrodkował we wzroku. Nie sądził on, by mógł dostrzedz w powietrzu dym, któryby mógł wskazać przytułek nieszczęśliwego uczonego, gdyż temu prawdopodobnie tak samo brakowało paliwa jak i żywności. Nie! Silił się on wykryć na horyzoncie szczyt jakiej wysepki wynurzający się z lodowego pola.

Wtem oko kapitana Servadac zabłysło, a ręka wyciągnęła się ku jednemu punktowi w przestrzeni.

— Tam! tam! — zawołał.

I wskazywał na rodzaj budynku drewnianego, ukazującego się na linii między niebem a polem lodowem.

Porucznik Prokop pochwycił lunetę.

— Tak jest — odrzekł — tam! tam!... To buda, która służyła do robót geodezyjnych.

— Nie było wątpliwości! Żagiel znowu rozpięto i czółno znajdujące się nie więcej jak o sześć kilometrów od dojrzanego punktu popędziło ku niemu z niezmierną szybkością.

Kapitan Servadac i porucznik Prokop, opanowani wzruszeniem, nie mogli wymówić ani słowa. Buda szybko powiększała się w ich oczach i wkrótce ujrzeli kupę skał niskich, na których była wzniesiona, i które tworzyły jakby plamę na białej powierzchni lodowego pola.

Jak to przewidział kapitan Servadac, żaden dym nie wznosił się nad wysepką. Więc zważywszy na ostre zimno, nie było co łudzić się. Do grobu zapewne zmierzało czółno na żaglach.

W dziesięć minut potem, w odległości około kilometra, porucznik Prokop zwinął mniejszy żagiel, gdyż samo rozpędzenie się czółna wystarczało dla dosięgnięcia do skał.

Wtedy żywsze jeszcze wzruszenie ścisnęło serce kapitana Servadac.

Na szczycie budy wiatr poruszał kawałkiem szmaty niebieskiej... Tyle tylko pozostało z bandery francuskiej!

Czółno dotknęło pierwszych skał. Wysepka nie miała pół kilometra obwodu. Z Formentery wysp Balearskich żaden więcej ślad nie pozostał.

U stóp budy pomiarowej wznosiła się nędzna chatka drewniana, której okiennice szczelnie były zamknięte.

Rzucić się na skały, wygramolić po śliskich kamieniach, dosięgnąć chatki, wszystko to kapitan Servadac i porucznik Prokop spełnili w mgnieniu oka.

Hektor Servadac zapukał do drzwi chatki, zamkniętych od wnętrza.

Począł wołać. Żadnej odpowiedzi.

— Do mnie, poruczniku! — rzekł wtedy.

I oba silnie poparłszy ramionami, wyłamali drzwi napół spruchniałe.

W jedynym pokoju chatki, ciemność była zupełna, milczenie tak samo.

Ostatni mieszkaniec tego pokoju, albo go opuścił, albo znajdował się w nim, lecz nieżywy.

Otwarto okiennice i zrobiło się jasno.

W kącie stało łóżko. Na łóżku tem wyciągnięte ciało.

Kapitan Servadac przybliżył się i krzyk wyrwał mu się z piersi.

— Umarł z zimna i głodu!

Porucznik Prokop nachylił się nad ciałem nieszczęśliwego.

— Żyje! — krzyknął.

I dobywszy flakonu, w którym znajdował się bardzo silny kordyał, wpuścił kilka kropel w usta umierającemu.

Dało się słyszeć lekkie westchnienie, po którem zaraz prawie nastąpiło kilka wyrazów, słabym głosem wymówionych:

— Galia?

— Tak jest!... tak!... Galia!... — odrzekł kapitan Servadac, a to...

— To moja kometa, moja!

Po wymówieniu tych wyrazów, umierający wpadł w stan głębokiej nieczułości, podczas gdy kapitan Servadac mówił sam do siebie:

— Ależ ja znam tego uczonego! Tak jest! Ale gdzież spotykałem się z nim?

Doglądać go i uratować od śmierci, w tej chatce, pozbawionej wszelkich środków — o tem nie można było nawet myśleć. Hektor Servadac i porucznik Prokop szybko powzięli postanowienie. W kilka chwil umierający, jego instrumenta fizyczne i astronomiczne, odzież, papiery, książki i stare drzwi, które mu służyły za tablicę do rachunków, przeniesione zostały na czółno.

Wiatr, który na szczęście zmienił się nieco, był prawie pomyślnym. Skorzystano z tego, rozpuszczono żagle, i jedyna skała pozostała po wyspach Balearskich, została opuszczona.

Dnia 19go kwietnia, we trzydzieści sześć godzin, przez które uczony nie otworzył oczu i nie wymówił ani słowa, złożony on został w wielkiej sali Ula Niny, a koloniści okrzykami hura przywitali dwóch śmiałych towarzyszy, których powrotu z niecierpliwością wyczekiwali.

Koniec części pierwszej.

KRYTYKA.

Polacy w południowo-zachodnim kraju: ustęp tomu VII. dzieła p. t. Prace etnograficzno-statystycznej ekspedycyi do zachodnio-russkiego kraju.

Od niejakiego czasu Moskale zajmują się gorliwie zbieraniem rozlicznych materyałów, odnoszących się do przeszłości i teraźniejszości składowych części rossyjskiego państwa. Czynność ta, odbywając się pod dozorem i kierunkiem władz, nie może być wolną od parcyalności, ze względu na cel, jaki jej przewodniczy. Cel polega na tem, ażeby obezpieczyć czyny dokonane. Rząd moskiewski uważa się zawsze za gracza, siedzącego z kartami w ręku w obec przeciwników, usiłuje przeto w ręku swojem zgromadzić wszystkie assy i wszystkie atuty, ażeby wygrać koniecznie. Gromadzi więc asy i atuty, wysadza komisye historyczne, archeologiczne, geograficzne, statystyczne, etnograficzne, mające zadanie z góry wytknięte, dowieść, że wszystko czem włada państwo moskiewskie, należy do onego nie tylko faktycznie, nie tylko prawnie, ale oraz i słusznie, sprawiedliwie, godziwie.

Tyczy się to szczególnie Rusi.

Ruś, pod względem historycznym, archeologicznym, geograficznym, statystycznym i etnograficznym stanowi Achillesową piętę moskiewskiego państwa, które ją posiada, włada nią; które niby sojka w pawich piórach, występuje przystrojone nazwą jej przed światem; każe się Rusią mianować i w imię miana tego z ukaźnym popisuje się patryotyzmem; mimo to jednak nie jest zupełnie pewnem siebie. Widma jakieś, jakieś mary stawiają mu się przed oczami. Do rozpuku, za boki się biorąc, śmieje się z pretensyi polskich do Rusi, a ogląda się, ażali z po za węgła jakiego pretensye te nie występują z pozwem. Z gorączkową zawziętością gnębi żywioły polskie na prawym brzegu Dniepru, używając do tego sposobów, w obec których cywilizacya XIX. wieku oczy sobie zasłaniać musi, i zawziętością tą właśnie dowodzi, że pewnem swego nie jest, że się boi.

Boi się — czego?

Zapytanie to, na które odpowiedź znajdzie czytelnik w ciągu dalszym opracowania niniejszego, stanęło w myśli naszej, gdy odczytując dzieło, pod tytułem *Prace Etnograficzno-Statystycznej Ekspedycyi do Zachodnio-Russkiego kraju zarządzonej przez Imperatorsko-Russkie Geograficzne Towarzystwo.* (*Trudy Etnograficzesko-Statistiezeskoj Ekspedicyi w Zapadno-Russkij kraj snariażennoj Imperatorskim-Russkim Obszczestwom*), z kolei w tomie VII. części drugiej, odczytaliśmy dział zatytułowany *Polacy południowo-zachodniego kraju,* (*Poliaki jugozapadnaho kraja*).

O powstaniu prac tych powiedzmy słówko, które zaczerpniemy ze wstępu.

Myśl zarządzenia etnograficzno-statystycznej

komisyi do zachodnio-ruskiego kraju powstała jeszcze w r. 1862; przyprowadzeniu jej atoli do skutku w onym czasie przeszkodziło powstanie polskie. Urodziła się ona w łonie Tow. geograficznego, które odniosło się w tej mierze do ministra oświaty i ten wyjednał u cara nie tylko *wysoczajszeje soizwolenje*, ale i na koszta rubli dziesięć tysięcy, mających być wypłaconemi ze skarbca ministerstwa oświaty. Zakres działalności ekspedycyi owej obejmował gubernii dziewięć w trzech grupach: białoruskiej (Witebska, Mohylewska i Mińska), litewskiej (Wileńska, Kowieńska i Grodzieńska) i ukraińskiej (Kijowska, Wołyńska i Podolska). Myśl ta podniesiona została na nowo w r. 1865, kiedy min. spr. wewn. p. Wałujew i gł. naczelnik północno-zachodniego kraju, grł. Kaufman, zawiadomili, jako ekspedycyi nie zagrażają już przeszkody żadne. Jakoż Tow geogr. przystąpiło niezwłocznie do dzieła, wyznaczając osobistości do badania krajów i wysyłając takowe na grunt. Rzecz jednak nie poszła od razu pomyślnie. Pierwsi wysłańcy nie mogli, czy nie umieli wywiązać się z zadania należycie, tak, że wypadła potrzeba zmienić ich, przyjmują jedynie za udałe prace p. Maksimowa, który studyował grupę gubernii białoruskich. Ostatecznie, i to dopiero w r. 1869, na Litwę wyprawionym został p. In. P. Kuźmierów, na Ukrainę p. P. P. Czubiński.

Nie znamy sprawozdań p. p. Maksimowa i Kuźmierowa, które oni Tow. geograficznemu przesyłali i które Tow. geograficzne, po rozpatrzeniu i uznaniu onych przez wysadzoną *ad hoc* komisyę, drukiem ogłaszało. Mamy przed sobą jedynie sprawozdania p. Czubińskiego, obejmujące grubych siedm tomów, zawierających w sobie rzeczy wielkiej wartości, odnoszące się do życia ludności ruskiej na prawym brzegu Dniepru. Tom I. zawiera legendy, zagadki, przysłowia; tom II. (ten nie wyszedł jeszcze) kazki; tom III. narodowy kalendarz; tom IV. pieśni obrzędowe; tom V. pieśni bytowe; tom VI. sądy *wołostne*; tom VII. Żydzi i Polacy. Statystyka małoruskiej ludności; przegląd małoruskich narzeczy; mieszkanie, pożywienie i odzież Małorusinów.

Wszystko to rzeczy ciekawe i ważne, podane w ilości, nadającej się do studyów gabinetowych nad językiem i obyczajami, ale na nieszczęście z góry nacechowane urzędowo-patryotyczną subjektywnością, występującą na wstępie w tytułowych definicyach. Zkąd wzięły się na prawym brzegu Dniepru „małoruska ludność, małoruskie narzecza, Małoruś?“ Małoruś jest nazwą oficyalną, przywiązaną specyalnie do Ukrainy, na lewym brzegu Dniepru. Tam się ona odnosi i tam ona nawet prawo obywatelstwa uzyskała. Ukraina na prawym brzegu, wraz z Wołyniem i Podolem, rozmaicie bywała mianowaną, naprzód „krajem zabranym“, dalej „krajem przyłączonym“, później „przywróconym“, w ostatku uzyskała miano „Gubernii południowo-zachodnich“. To ostatnie jest, według nas, najlogiczniejszem w sensie państwowym, państwowo-administracyjnym, polityczno-geograficznym. Inaczej bowiem, jest to Ruś, Ruś historyczna, Ruś etnograficzna, której się krzywdę wyrządza ustrajając ją w przystawek „mało“. P. Czubiński dla tego przystawek ten przyfastrygował do niej, że zapatruje się na te rzeczy z punktu *wielkorusskiego*, po naszemu, moskiewskiego, z którego wszystko wydaje się małem. Komisya Tow. geograficznego powinna była to poprawić; że zaś nie poprawiła, jestto dowód, że i ona z tego samego, co delegat jej, punktu, na rzeczy spogląda. W ten sposób zarekomendowane dzieło wzbudza z góry w szanującym naukowe badania czytelniku pewne niedowierzanie.

Wracamy jednak do opisu dzieła. Ułożyło się ono w ten sposób, że delegat, udawszy się do Kijowa, gdzie uzyskał opiekę generał-gubernatora, wykonał ztamtąd trzy wycieczki objazdowe, które objęły Ukrainę, Podole i Wołyń, a oraz północno-zachodni kąt Bessarabii, część Lubelskiego i część Podlasia. W objazdach tych gromadził materyały, których zebrał moc ogromną: samych pieśni obrzędowych .3.000, kazek 3000 etc. Pomagał mu w tem cały świat oficyalny: mirowi pośrednicy, nauczyciele, popi, gubernskie statystyczne komitety, eparchje. Przy takiem poparciu i takiej pomocy nie dziw, że się materyałów nagromadzić dało dużo. Taka wszelako pomoc ma i ujemną swoją stronę, tę mianowicie, że nie widzi nic, to co jest, ale to co pokazują. P. Cz., czyniąc objazdy w otoczeniu czynowników świeckich i duchownych, znajdował się w położeniu tych podróżników po Rossyi, którym za ciceronów służą gubernatorowie i ziemska policya, z tą wszakże różnicą, że podróżnicy owi nie przybywają z powziętem z góry postanowieniem patrzeć tak, a nie inaczej, p. Cz. zaś przywiózł ze sobą to postanowienie z Petersburga, pomimo, że się przeciwko owemu zastrzega.

Nie ujmuje to pracy pana Cz. wartości tam, gdzie idzie o same surowe materyały, stanowiące część ogromnie większą, obejmującą ogromnych tomów sześć i pół, a nawet sześć i trzy ćwierci. „Przy etnograficznych badaniach działać można na dwóch drogach — powiada p. Cz. — albo własne subjektywne wrażenia przedstawić jako rezultat spostrzeżeń, albo zbierać materyały odnoszące się do różnych stron narodowego życia, podając w ten sposób możność każdemu widzenia nader niezależnie od wrażeń postrzegacza. Wybrałem drugą metodę..“ — i przytrzymywał się onej tak długo, póki mu się pod pióro nie nawinęli Polacy, którzy wysadzili autora z objektywnego siodła. O Żydach, rzecz o których obejmuje ćwierć tomu siódmego, opowiada jeszcze ze spokojem postrzegacza bezstronnego. Traci atoli spokój, jak skoro staje w obec elementu, posiadającego w kraju znaczenie polityczne, obce zupełnie rodzajowi pracy, której pan Cz. dokonywał. Część tę obrabiał do spółki z p. K. P. Michalczukiem, jako wychowanym śród polskiego społeczeństwa i znającym takowe na wylot. Pan Cz. przyznaje się do nieznajomości onego. Cała przeto zasługa opisania Polaków śród *małoruskiego* narodu spada na p. Michalczuka, do którego też będziemy się zwracali w naszym krytycznym poglądzie, pomimo że właściwie zwracaćbyśmy się powinni do komisyi Tow. geograficznego.

Praca p. Michalczuka pojawiła się w roku 1872, w którym wyszła pierwsza połowa tomu VII., poprzedzając połowę drugą o całych lat pięć. Ukazanie się pierwszej połowy wywołało w moskiewskiej prasie recenzye i krytyki. Z tych ostatnich jedną mamy przed sobą, drukowaną w przeglądzie *Wiestnik Europy* (lipiec 1875). Autorem onej jest profesor M. P. Dragomanów. Będziemy opracowanie to na uwadze mieli, mając w ten sposób do zestawiania i porównania dwa głosy: urzędowy i niezależny.

Pan D. zarzuca ustępowi o Polakach w południowo-zachodnim kraju niepełność. I nas to uderzyło. Podczas kiedy Żydom poświęca autor stronnic dużego formatu 211, Polaków zbywa na 80ciu, podając oprócz ustępu: szkic historyczny opolaczenia południowo-zachodniego kraju, katolicyzm tamże, zwyczaje, obyczaje i byt towarzyski, szczególności piśmiennicze i językowe, zasadnicze przyczyny atagonizmu w odniesieniu do wielko-rusów i zmiany w bycie Polaków od czasu niepowodzenia powstania, statystyczne dane o katolikach i Polakach. Taki przedmiot obszerny na ośmdziesięciu pomieścić stronnicach, to znaczy, zamiast wywodu podać konkluzye. Autor też nie czyni czego innego.

Rozpatrzymy rozdział po rozdziale, powstrzymując pióro w granicach jak najszczuplejszych, z obawy, ażeby krytyka nasza nie doścignęła rozmiarów obszerniejszych, aniżeli przedmiot onej.

Krótki historyczny szkic opolaczenia południowo-zachodniego kraju.

Początek opolaczenia odnosi autor do unii lubelskiej (1569 r.), rozwój zaś onego do wstąpienia na tron Jana Kazimierza (1649 r.) „Kozackie powstania skierowane były nietylko ku obronie prawosławia i narodowości, ale zarazem i przeciwko panom, dążącym do upoddanienia narodu.“ Jest to zwrotka, *ad hoc* wymyślona, która bliższego wymaga wyjaśnienia. Istota powstań kozackich tkwiła całkowicie w antagonizmie, jaki nie objawić się nie mógł pomiędzy dwoma stanami rycerskiemi, którymi byli: szlachta rodowa, naród polityczny z jednej strony i kozactwo z drugiej. Do zapasów wystąpiło rycerstwo nowe, przeciwko rycerstwu staremu. Chodziło o podzielenie się przywilejami i prerogatywami, których szlachta broniła do upadłego, ustępując o tyle o ile, gdy nie można było inaczej i ustępstwa cofając, ile razy szala wojenna na jej przechyliła się stronę. Nie chodziło o co innego. Religia, narodowość i stosunek społeczny, były to motywa postronne, wprowadzone do walki w sposób dodatkowy. Religia przychodziła z zagranicy wschodniej, podsuwana przez mocarstwo, chorujące na potrzebę szerzenia się ku zachodowi: stosunek społeczny służył kozakom za hasło do werbowania ochotników śród ludu; narodowość, ta wcale tykaną nie była: nie była tykaną do tego stopnia, że unia innego znaczenia nie miała w stosunku do narodowości jak ochrończe. Rzecz prosta i naturalna, że w epoce, w której „religia panująca“ stała jako główna zasada państwowa, Polska narzucała Rusi katolicyzm; będąc atoli słabą, jako państwo, a jeszcze słabszą jako rząd, narzucanie to podawała w osłonie narodowej, po rusku, z usunięciem łaciny, tak, że Rusini, zostając katolikami, mniej zagrożeni byli w narodowości swojej, aniżeli bracia ich nadwiślańscy. Zresztą, ani śniło się podówczas jeszcze komu, ażeby religia charakteryzować miała narodowość: jest to inwencya czasów późniejszych, nie polska, ale czysto moskiewska. Dopiero rząd moskiewski wprowadził tę dystynkcyę, zaliczając katolików wszystkich w czambuł do narodowości polskiej, a prawosławnych do ruskiej. Zauważyć przytem należy, iż ani ludowi unia wstrętną nie była, ani wstrętnym nie był rząd polski duchowieństwu prawosławnemu. Fenomen ten tłumaczy się naturalnie. Ludowi obojętnemi były teologiczne subtelności, na których opiera się różnica wyznań; duchowieństwo zaś, wyższe zwłaszcza, mimo że niedopuszczanem było do senatu, poważniejsze i swobodniejsze zajmowało stanowisko w rzeczypospolitej polskiej, aniżeli w Moskwie. Wstręt przejawiał się jako importacya, przychodził wraz z ofiarowaniem protekcyi i pomocy rebelizantom kozackim, był środkiem politycznym, którego używała Moskwa

przeciwko Polsce, a któremu Polska z trudnością jeno bronić się mogła, nie mając po temu sposobów w fundamentach swoich organicznych. Jako państwo, opierała się na podstawach federalnych; jako rząd była rzecząpospolitą, kierującą się wolą zbiorową, nie zdolną zdobyć się na taką siłę, na taką energię, ani nawet na taką w działaniu konsekwentność, jak monarchia absolutna.

Gdyby nie było Moskwy pod bokiem, spór, pomiędzy rycerstwem starem a rycerstwem nowem byłby się musiał rozstrzygnąć kompromisem, na którym, z pewnością, Ruś wyszłaby lepiej, aniżeli na „wyswobodzeniu z pod jarzma polskiego“.

Pokazuje się to w epoce rozbiorów, w której, według świadectw, na jakie powołuje się delegat Tow. geograficznego, opolaczenie szlachty i upoddanienie ludu nie doszły były tych rozmiarów, w jakich wystąpiły pod panowaniem moskiewskiem. Szlachta, jak wykazuje p. Józefowicz, była w połowie ruską i w znacznej części prawosławną. Zkądże to pochodziło? Z niskąd inąd, jak z dwóch przyczyn: z braku nacisku rzetelnego w tym sensie ze strony państwa polskiego i z powodu, jak o tem dowodnie świadczy p. Antonowicz, wątłości węzłów, wyrażających stosunek chłopów do panów. Panowie, dziedzice, we względzie prawnym postawieni tak jak dziedzice w Niemczech, we Francyi, w Moskwie, używali praw swoich bardziej nominalnie, aniżeli faktycznie. Działo się to wskutek szczególnego geograficznego położenia kraju, nastręczającego pełno schronów przed uciemiężeniem pańskiem. Chłop potrzebował jeno usunąć się za kresy, ażeby drwić z poddaństwa. Panowie też, zagrożeni ustawicznie brakiem robotników, celem utrzymania ludności chłopskiej po siołach uciekać się musieli, jak się wyraża p. Antonowicz, do „podstępów“. Podstępy te wszakże realne niosły korzyści, wyrażając się za pomocą podziału gruntów, na własność nawet, i ulg. Chłop odrabiał pańszczyzny dni sześć, najwyżej dwanaście rocznie i dawał zsypy, które go bynajmniej nie obarczały. W majątkach wielkich, jakiemi były majątki Lubomirskich, Potockich, czyniło to dochody znaczne; w małych, szlachcic, zrzucając pychę z serca, sam się pługa imał i orał rolę swoją, spoglądając z daleka na poddanego swego, który toż samo na roli swojej robił. Oto następstwa, do których za panowania polskiego, „podstępy“ szlacheckie prowadziły! Chłop i szlachcic zachowywali czucie jeden z drugim; zachodziło pomiędzy nimi faktyczne zbratanie, brzemienne wielkiej społecznej doniosłości konsekwencyami pod warunkiem, gdyby się mogło było rozwinąć i dojrzeć.

Cóż jednak!... — Ruś „wyswobodzoną została z pod jarzma polskiego“.

Nie dawno jeszcze starzy ludzie na Ukrainie wspominali o czasach wyswobodzenie owo poprzedzających. Jakże wspominali? „Hej! za Polszi dobre buło!... a jak Moskal pryjszow, to i zemla rodyty perestała“. (C. d. n.)

Z ALBUMU HALINY.

I. PŁACZ WE ŚNIE.

1.

Czemuż to dziecię zawsze płacze we śnie,
Tak ciężkim w północ odzywa się jękiem,
Tak rzewnym głosem, tak smutnie, boleśnie,
Jak gdyby szczęścia rozbitego dźwiękiem?

2.

Wszakże kwiat życia na licach mu płonie,
Świat jeszcze serca nie zranił mu niczem,
Miłość go matki na swem tuli łonie,
Modlitwa skrzydłem słoni tajemniczem!

3.

O! bo w niem smutna przyszłość się ukrywa;
Może iż Anioł cierpień tak żałośnie
Wcześnie na młodej lutni to przegrywa,
Co kiedyś na niej ma zagrać tak głośnie.

Na pamiątkę. Karlsbad 31 lipca 1849.

F. Morawski.

II.

Drżąc moje imię na tej karcie kładę,
Serce mam smętne, myśli moje blade.

Wszystkie me pieśni z ognia i opalu
Nikną przy żywym twoich ust koralu.

Wieszcze promienie, com zebrał w przeźroczu,
Wszystkie! nie warte połysku twych oczu.

Napróżno dusza wciąż do życia rwie się,
Bo mnie łódź cicha w cichsze morze niesie.

A gdy mnie fala szumiąca otoczy,
Tonę w marzeniu i przymykam oczy,

I tak mi lubo, że wstawszy po ranu,
Przed zmierzchem usnę w głębi oceanu.

A gdy na konchach leżeć będę na dnie,
Twój jasny obraz niech aż do mnie spadnie.

Wtedy pieśń rzewną wynucę z głęboka
O twym uśmiechu i o blasku oka.

Wędrowny bocian jeśli ją usłyszy,
To ją do wiejskiej przyniesie zaciszy.

Może mnie wspomnisz, gdy w wiośniane noce
Tę pieśń nad gniazdem bocian zaklekoce.

Wtedy ja śniący powiem nieprzytomnie:
Przecież dla pieśni pamiętają o mnie,

A niespokojnej duszy zdać się będzie:
Że w tej pamięci żyjąc — jest żyć wszędzie!

3. kwietnia 1849.

Kornel Ujejski.

PANNA KAPITANÓWNA

przez

MARKA POLNICZA.

(Ciąg dalszy.

Powątpiewając już, czy przyjdzie, począł Florek inną dłań przygotowywać zasadzkę i jakeśmy to widzieli, sprzymierzył się w tym celu z panem Antonim.

— Przyszła jednak w ostatniej chwili „koza do woza“: wszystko pójdzie dobrze — (pomyślał Florek). — Otom jednego konkurenta prawie już odsadził. Może się tak uda i z drugim.

— Przebacz mi, mój drogi — rzekł Mikołajek — że tak szorstko rozszedłem się z tobą. Tyś gorączka, jak zawsze, a ja zaś byłem bardzo zirrytowany... Czyż nie mam czego? katastrofa się zbliża — a ja dalibóg nie wiem, jak się wywikłać z tej kabały. Jeśli ty mi nie poradzisz...

— Jak ja ci mam radzić, kiedy ty utrzymujesz, że to ja cię w nią wprowadziłem.

— No, nie gniewaj się mój drogi. Ja tego na seryo nie mówiłem. Jakiżbyś mógł mieć w tem interes! To niedorzeczność!

Floryan się uśmiechnął szyderczo, spojrzał mu w oczy, a po chwili niemej obserwacyi, rzekł najspokojniej:

— Jaki interes? Otóż widzisz, że miałem w tem interes. Nie chcę z tobą grać dłużej komedyi i powiem ci całą prawdę. To ja cię wprowadziłem w tę „chryję“.

— Ty?... Żartujesz!

— Bynajmniej. Ja to sfabrykowałem owę korespondencyę, abyś się już raz o kapitanównę oświadczył — bo wiedziałem, że jak się dowiesz prawdy, to będziesz musiał stanowczo zerwać i na zawsze. A o to tylko mi idzie. Ja kocham pannę Wandę!

— Bój się Boga, Florku!... To niegodziwie!... Coś ty mi narobił!... I cóż ci z tego przyjdzie? Nie pójdzie za mnie, to pójdzie za innego. Tobie jej nie dadzą.

— Poradziłem sobie z tobą tak, to poradzę sobie z kim innym inaczej...

— Ale co ze mną będzie! Zdradziłeś mnie! podszedłeś gorzej od jezuity...

— „A la guerre, comme à la guerre!“

— Czekaj, czekaj! wpakowałeś ty mnie w błoto, to wpakuję ja ciebie.

— I cóż mi zrobisz? Powiesz, że to wskutek korespondencyi przezemnie sfabrykowanej oświadczyłeś się o rękę panny Wandy? To siebie tylko na śmiech narazisz, a nie mnie.

— Ożenię się, na złość tobie!

— To sobie większą złość wyrządzisz niż mnie. Wątpię zresztą, abyś to uczynił. Czytaj!

— Odsunął szufladę biórka napełnioną listami i poszukawszy chwilę, podał mu jeden z nich.

— Co to? — zapytał Mikołaj — czy list od panny Wandy?

— Listu od niej nie pokazałbym ci...

— Ale go masz?

— O to mnie nie pytaj.

— Mikołaj spojrzał na kopertę. List zaadresowany był do redakcyi dziennika. Koperta zaopatrzona w znaczki pocztowe miała stempel poczty jasielskiej.

— Czytaj, Mikołaju, to już niesfałszowana korespondencya, ale prawdziwa.

List nosił podpis Czecieczewicza. Zaprzeczał on w nim wiadomości o swej śmierci i o testamencie, zaprzeczał również temu, jakoby tak znaczny posiadał majątek i dodał w końcu sprostowania, iż w całej owej korespondencyi w dzienniku zamieszczonej, jedno tylko było prawdą, a mianowicie to, iż „szczupły“ (jak się wyraził) mająteczek swój przeznaczył testamentem na cele powszechnego dobra, i to nie w dziesiątej tylko części, ale w całości, ale nie na szpital jasielski, mający dostateczne uposażenie, lecz na inny użytek, zdaniem jego, nierównie ważniejszy...

— Oho, ty i ten list sam skomponowałeś! już mi tak łatwo oczu nie zamydlisz!

— Wierz albo nie wierz, jak ci się podoba. Przypatrz się zresztą: marki pocztowe są, stempel jest, — a charakter pisma trzęsący, jużci także nie mój. Cóż mi zresztą na tem wszystkiem zależy?

— Już ja ci teraz nic a nic nie wierzę.

— Dobrze. Więc żeń się jak chcesz. Przestrzegam cię jednak, że Dziunia mnie kocha. Żeń się.

— Łotr jesteś. Wiesz ty dobrze, że ja się nie ożenię... No, ale kiedyś mi tej biedy narobił, to wyciągnijże mnie z błota, — ja nie chcę, żeby mi kapitan kości połamał.

— Daj mi pokój, ja się nie chcę w to mięszać.

— No, no, Florku, Florku kochany. Przecież to i o ciebie idzie! Wszystko ci zapomnę przez przyjaźń dla ciebie. Nie będę miał żadnej urazy do ciebie za tę całą intrygę — ale mi pomóż wyleźć z tego błota.

— Radź sobie jak chcesz. Co mi tam do tego!

— Ależ mój drogi! czy się to godzi!

— Chciałeś mi pannę moją zabrać — nie kochając jej nawet, — masz za to! to ci się słusznie należało...

— Ależ mój Florku, ja nie wiedziałem, że się ty w niej kochasz. Nigdybym był nie pomyślał o niej.

— Dobrze, dobrze.

— Florku! zlituj się! przypomnij sobie nasze szkolne czasy, jakeśmy na jednej ławce siedzieli! na jednej ławce w skórę brali!

— To już bardzo dawno.

— Jakem ci podpowiedział siedm grzechów śmiertelnych przed katechetą..

— Nie pamiętam.

— A „fero-ferre-tuli-latum?“

— Dzieciństwo.

— Florku!

— Nie myślę być twoim konduktorem. Bardzo cię kocham, mój Mikołajku, ale kości moje milsze mi od ciebie.

— Florku, nie mów tak! Dam pięćset guldenów.

— Bassarunku?... Toś swoje kości tak ocenił, moje więcej warte.

— Nie wiem, co to bassarunek — ale dam sześćset! Dalibóg więcej nie mogę.

— Nie, to nie.

— Ajajaj, targujesz się ze mną jak żyd lichwiarz! Wstydź się Florku, prawdziwie wstydź się!

Florek milczał.

— Florku! ja się wstydzę za ciebie!

— Ani słowa.

— No, ileż chcesz?

Florek wziął arkusz papieru i napisał:

„W razie, gdyby zamierzone małżeństwo moje z panną Wandą Kaperman nie przyszło do skutku, obowiązuję się wypłacić panu Floryanowi N., z którym się o to założyłem, 1,000 (mówię: jeden tysiąc) guldenów austryacką walutą“.

— Podpisz!

— Zlituj się, to za wiele! Chcesz mnie obedrzeć ze skóry! Nie mogę tyle, nie mogę!

— Jak ci się podoba.

— Ależ piłujesz mnie formalnie! bierzesz mnie na tortury! Taki frant jak ty, to i tak się ze wszystkiego wykręci. Tobie kapitan nic nie zrobi, a jak pannę skompromitujesz, to i z Dziunią się ożenisz i jeszcze weźmiesz odemnie pięćset guldenów.

— Kto wie, czy się ożenię.

— Cóż cię to zresztą kosztuje dać przyjacielowi dobrą radę? tu o nic więcej nie idzie. Mnie uratujesz, a Dziunia będzie twoja. Z twoim sprytem, wszystko ci pójdzie jak po maśle.

— Mój Mikołajku, nie mówmy o mnie. O mnie ci nie chodzi wcale, ale o siebie. Chcesz tylko dobrej rady? więcej nic?... no, dobra rada przecie także coś warta! Ale aby ją dać, to także coś kosztuje. Kiedyś ty bujał po świecie, ja przysiadałem fałdów, uczyłem się, zdałem „maturę“, chodziłem na uniwersytet... To wszystko mnie kosztowało grosza i trudu — a teraz ciągnę z tego kapitału procenta. Prosta rzecz! Ty uprawiasz ziemię i sprzedajesz pszenicę, ja uprawiałem głowę i sprzedaję teraz dobry koncept...

— Przyjacielowi!... — dodał Mikołaj z wyrzutem.

— Daj mi po przyjacielsku twoją pszenicę za darmo, to ci dam za darmo koncept..

Mikołaj pochwycił z biórka podany mu do podpisu dokument i przeczytał go raz jeszcze. Czytał i kiwał głową na lewo i na prawo.

— Ależ jakbym to podpisał, to tyś gotów jakimkolwiek sposobem poróżnić mnie z kapitanem, rozjątrzyć go na mnie... zwali się na mnie jeszcze większa bieda, a ty wtedy wystrychniesz mnie na x i każesz sobie wypłacić tysiąc guldenów...

— Bynajmniej. Dokument nie żąda, abyś ty zrywał małżeństwo — owszem, staraj się zachować jak najlepsze stosunki z kapitanem; ja ci daję słowo, że ani sam, ani przez pośrednictwo innych złego słowa o tobie nie powiem ani nie napiszę, a wszystkiego dokażę z własnem tylko niebezpieczeństwem, byleś ty mnie we wszystkiem słuchał i robił co ci powiem.

Mikołaj przeszedł się parę razy szybkim krokiem po pokoju.

Milczał.

Rzucił się potem na sofę srodze zafrasowany i położywszy ręce na głowie, palcami obu rąk jak dwoma grzebieniami odgarniał włosy od skroni.

Milczał.

Nagle zerwał się na nogi i usiadł przed biórkiem chwytając do ręki przedłożony mu do podpisu cyrograf. Zadumał się nad nim głęboko.

Milczał.

Zniecierpliwiony tem Florek pochwycił pierwszą lepszą książkę ze stosu leżącego na stoliku, a rozłożywszy ją gdzie się przypadkowo sama otworzyła, zaczął czytać. Było to dzieło Floreńsa: „O obłąkaniu“. Szczególnym trafem spotkać się tam musiał z jakąś myślą czy konceptem, którego mu właśnie było potrzeba, bo twarz mu się rozpromieniła i zawołał:

— Środek mam wyborny!...

Mikołaj w tej właśnie chwili gorączkowo pochwycił był pióro i cyrograf podpisał:

— No, masz!... A teraz mów, co mam robić.

Florek złożył dokument we czworo i z uśmiechem zadowolenia schował do kieszeni.

— Najprostsza rzecz w świecie: zwaryuj.

— Ja?... zwaryować!.. a to po co?

— Waryatowi kapitan nic nie zrobi... sam zerwie. To jasne jak słońce.

— I nic więcej?... I za to mam potem tysiąc guldenów zapłacić? Taka prosta rzecz! taki głupi koncept! To dziecko wymyśli!

— Jajo Kolumba.

— Chybabym na prawdę zwaryował, gdybym za to tysiąc guldenów miał zapłacić!

— Podpisałeś.

— Wstydź się, tak mnie obedrzeć!

— Nie wstydzę się. Trzeba ci było samemu wpaść na ten koncept. Gdybyś się był wprzódy do mnie zgłosił, to można było co lepszego obmyśleć. Dziś w ostatniej chwili nie ma już wyboru. To środek najlepszy, jedyny...

— Niedorzeczny!

— Ale skuteczny. Jeżeli nie chcesz, to się żeń z panną bez posagu.

— Nie chcę.

— To zerwij i niech ci kapitan wygarbuje skórę...

Mikołaj gwałtownym ruchem pochwycił kapelusz.

— Ha, no, stało się!... zwaryuję!

I pogrążony w myślach wyszedł z pokoju.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Sewer: Wydziedziczone, powieść. Warszawa, 1877. Na pobojowisku, epizod z wojny 1871. Lwów. 1877.*)

Jeżeli porównamy emigracyę z 31 roku z emigracyą 63 pod względem literackiej działalności, to bez długich poszukiwań okaże się ogromna przewaga po stronie pierwszej. Ileż to gwiazd pierwszorzędnych wydała, lub przynajmniej zamknęła w sobie poprzednia emigracya! Nie potrzebuję ich wyliczać; każdy zna dobrze te imiona i potrafi długi z nich szereg ułożyć. Przeciwnie, ostatnia emigracya nie zabłysnęła zbyt wielu talentami na polu poezyi i literatury w ogóle, a raczej jeżeli zabłysnęła, to bardzo niewielu Stwierdzam tu fakt, o ile się z niego smucić wypada, to inna kwestya. Brak wielkich talentów literackich wynagrodzony został w inny sposób: młodzież, wyrzucona falą powstania na krawędzie Europy, rzuciła się do nauk ścisłych i zastosowawczych, do technicznych zakładów i utworzyła zastęp inżynierów, górników, chemików itp. pracowników, bardzo pożądanych dla kraju, gdzie przemysł był siłą zupełnie nierozwiniętą, i do niedawna pogardzaną.

Jednakże i ostatnia emigracya, jak już nadmieniłem, wydała z siebie pewne grono talentów literackich, a w tem nielicznem gronie p. Sewer bezwątpienia zajmuje pierwszorzędne stanowisko. Nie można o nim powiedzieć tego, co by się do niejednego dało zastosować, że wędrówka po świecie i ciężka szkoła życia niczego go nie nauczyła i nic mu nie dała zapomnieć. Pan Sewer, znalazłszy się śród obcych społeczeństw, nie patrzał na nie zamglonemi oczyma, ale studyował je na każdym kroku i pierwszym owocem tych studyów były listy pisywane do dzienników naszych (między innemi do „Tygodnia“), listy, w których porównawcza charakterystyka angielskiego społeczeństwa była i bardzo żywą i bardzo pouczającą. W istocie, jeżeli jaki naród mógłby rościć pretensye do tego, by zostać wzorem dla innych społeczeństw, to chyba tylko angielski, a jeżeli niejeden naród miałby się wiele do nauczenia od angielskiego, to polski miałby najwięcej. Zarzucają zwykle Anglikom egoizm, brak serdeczności: otóż dobrzeby było, gdybyśmy się nauczyli tego egoizmu, który powiada, że czas to pieniądz, że żeby coś dobrego drugiemu zrobić, potrzeba umieć byt własny zaopatrzyć, że gotowość do poświęceń jest wprawdzie szczytem ducha ludzkiego, ale dopiero wtedy, gdy się z obowiązkami swymi przedtem rachunki wyrównało i wiele innych rzeczy, obcych naszej słomianej serdeczności i egzaltacyi.

Ale p. Sewer nie poprzestał na ogólnikowej charakterystyce angielskiego społeczeństwa, zawartej w swoich Listach. Dzięki bystrej spostrzegawczości i wnikliwości umysłu, umiał on w przeciągu kilku lat tak zgłębić obce społeczeństwo, przynajmniej w niektórych jego warstwach, że mógł je obrać sobie za tło swoich powieści i utworów dramatycznych.

Jedną z takich powieści są „Wydziedziczone.“ Tem imieniem nazywa autor wyrobnice angielskie, pracujące cały dzień w fabrykach, aby wieczorem mieć filiżankę gorącej herbaty i kawałek chleba z masłem. Obraz tego świata, z dantejską oświetlony, znajdujemy na samym początku: „Cisza w salach. Za przegródkami siedzą pracownice. Przegród dwa tysiące. Dwa tysiące młodych dziewcząt w milczeniu skręca liście cygar. Dwa tysiące młodych myśli błądzi pod sklepieniami sali; dwa tysiące pragnień i nadziei....

„O czem myślą te młode wydziedziczone, blade, zatrute nikotyną, przetruwane fantazyą myśli własnych, niekrępowanych nauką, podczas dziesięciu godzin mechanicznej pracy palców. Myśli młode bujają po przestrzeniach małych żądz i wielkich projektów... Zadumała się, ręce zmęczone spoczęły, skurczone palce wyciągają się Zadumana, już widzi młodego księcia, pięknego jak na teatrze, uśmiechem go wita. Książę ją poznaje, zbliża się... Nie książę, lecz starsza dozorczyni surowym wzrokiem mierzy biedną dziewczynę. Ten wzrok otrzeźwia ją, przeraża, wstrzymuje bieg krwi w sercu, ten wzrok grozi jej wypędzeniem, utratą dwunastu szylingów na tydzień, nędzą i głodem. Wzrok ten przypomina jej małą izdebkę i troszkę węgla na kominie; filiżankę gorącej herbaty i kawałek chleba z masłem, może suszoną rybę, i w niedzielę spacer w celu poszukiwania księcia...“

Oto krótkie, ale żywe i malownicze streszczenie życia tych istot. Z pomiędzy nich wybiera autor dwie dziewczyny: Lizę i Fanny, i bliżej nas z niemi zaznajamia. Wchodzimy do ich izdebki, rozpatrujemy się w ubóstwie, które je otacza, ale spostrzegamy zarazem i zbytek, którego daremniebyśmy szukali u wydziedziczonych jakiegokolwiek innego narodu. Oto biedne dziewczęta, otrzymując nędzną zapłatę tygodniową, która ledwie wystarcza na zaopatrzenie się w niezbędną żywność i opłacenie mieszkania, oddzielają przecież część z niej na kupienie sobie jakiegoś powieściowego dziennika ludowego. Bez pokarmu dla fantazyi tak im żyć trudno, jak bez chleba. Są to więc istoty i szczęśliwsze i nieszczęśliwsze od podobnych im istot na kontynencie. Szczęśliwsze, ponieważ wyższy rozwój umysłowy dostarcza im przyjemności wyższego rzędu, nieszczęśliwsze, bo rozbudzona fantazya stawia wyższe wymagania i tem trudniejszą czyni zgodę z nędznem życiem, jakie się im dostało w udziale.

Ale i to nędzne życie jest jeszcze szczęściem wobec katastrofy, która zaskakuje dwa tysiące dziewcząt, skręcających liście cygarowe. Postanowiono zamknąć fabrykę na czas jakiś. Dla czego? mniejsza o to, dość że postanowiono, i cztery tysiące młodych rąk pozostaje nagle bez żadnego zarobku. Rzucają się na rozmaite strony, szukając zajęcia, któreby ich od śmierci głodowej ratowało. Jedne znajdują, inne nie, między ostatniemi są Lizeta i Fanny.

Fanny jest dobrą i czułą istotą, kocha ona jakiegoś wietrznika, Gustawa, który raz jej powiedział, że się z nią ożeni. Raz, to bardzo mało, ale Fanny jest tak dobrą, że ufa Gustawowi, pomimo, iż go widziała na ulicy mizdrzącego się do wielkich pań. Tymczasem Gustaw nie myśli wcale się żenić, a po scenie gwałtownej z Lizetą, która go nazwała podłym, zupełnie opuszcza dziewczęta. Wszystkie już zasoby wyczerpały się, wszystkie usiłowania, by znaleść zarobek, rozbiły się. Nie ma już nietylko dziennika ze wzruszającą powieścią, ale i nafty do lampki, ale i kawałka chleba, a gospodyni, oddawna wskazująca dziewczętom łatwy zarobek, którym się brzydziły, zagraża wyrzuceniem z mieszkania. Więc Lizeta...

Lizeta jest główną bohaterką powieści. Jest to typ dumnej i przedsiębiorczej Angielki, ale postawionej w warunkach, w których jej duma narażoną jest na ciągłe upokorzenia, a jej przedsiębiorczość nie zdoła nawet zaspokoić pierwszych potrzeb życia. Dumna i zacięta, hardo stawiająca się światu, jest ona czułą w głębi serca i większej niż siostrzaną miłością otacza Fanny, swoją towarzyszkę pracy i niedoli. Widok cierpień tej ostatniej podwaja cierpienia Lizety, tem bardziej że to z jej przyczyny Gustaw opuścił Fanny, i Lizeta nareszcie odważa się na krok fatalny — sprzedaje się.

Odtąd przekleństwo zaczyna ciężyć na Lizie. Dotychczas była wprawdzie wydziedziczoną, ale tylko pod względem materyalnym, teraz jest moralnie wydziedziczoną. Naprzód Fanny, ratowana przez nią od śmierci głodowej, ucieka od niej. Liza, mając teraz mały zasób pieniężny, prędko dorabia się znacznej fortuny, na jakiejś prowincyonalnej scenie i jako bogata i czarująca lady wraca do Londynu. Na tych samych ulicach, gdzie ją potrącano i mierzono z góry wzrokiem, teraz jej ustępują i nisko się kłaniają. Lizeta ma podwójny rachunek do wyrównania: zemścić się na Gustawie i wesprzeć dawną towarzyszkę, którą zawsze kocha. Z Gustawem sprawa poszła łatwo, ale z Fanny było inaczej. Fanny, ratując się od nędzy i hańby, wyszła za mąż za pijaka Toma. Tom nie tylko umiał pić, ale i bić żonę. Ta broniąc się pewnego razu, młotkiem, który trzymała w ręku, uderzyła nieszczęśliwym trafem męża w skroń i zabiła go. Zabójstwo było nieumyślne, ale obrona trudną, Fanny byłaby skazaną, gdyby nie Lizeta. Dowiedziawszy się o całej sprawie, staje przed sądem, rzuca rękawicę całemu społeczeństwu, i hańbę swoją odkrywa, byle tylko uratować niewinną towarzyszkę. Patrzcie, powiada, było nas dwie wyrobnice, którym śmierć z głodu groziła. Ja się sprzedałam i jestem bogatą, wolną, odbieram hołdy; Fanny chciała ujść hańby i znalazła się na stopniach rusztowania.

Bohaterskie wyznanie Lizety ocala Fanny. Czyn ten zjednywa jej przyjaciela w starym a bogatym filantropie Maxwellu Odtąd życie Lizety poświęcone jest pracy nad dobrobytem wyrobnic, ale czyż praca ta może wystarczyć na zaspokojenie wszystkich potrzeb serca. Lizeta tęskni do życia rodzinnego Profesor Stone pokochał ją, i oświadczył się o jej rękę, nie znając jej przeszłości. Lizeta mu wzajemną, ale nie chce, aby jakakolwiek tajemnica dzieliła ją od przyszłego męża. Każe mu powiedzieć o sobie wszystko i... miękki profesor cofa się. Wówczas stary Maxwell ofiarowuje jej swoje nazwisko, ojcowską opiekę i majątek. Lizeta zostaje lady Maxwell, i zajmuje wysokie stanowisko w hierarchii społecznej. A przecież nie tego przedewszystkiem pragnie jej serce. Po śmierci Maxwella jeszcze raz uśmiechnęła się jej miłość w oczach młodego cudzoziemca, Polaka, którego pomna na dawniejsze swoje dzieje, uratowała od śmierci głodowej. Ale i tym razem był to błysk słońca chwilowy; cudzoziemiec umiał się naraz w dwóch kochać i ożenił się z drugą, zanim się Liza o dwoistości jego uczucia dowiedziała.

Autor w następujący sposób zamyka dzieje swej bohaterki: „Wszędzie, gdzie się tylko pojawiła Lizeta, czego się dotknęła, na co spojrzała, wszędzie rozsiewała szlachetną radość a długotrwałe szczęście.

„Dla czegoż ona jedna była smutną? Dla czego ją jedną szanowali i czcili, a nikt jej nie kochał!? Dla czego?... Spytajmy się fatalizmu, układu świata, tajemnic ludzkości, a może Nemezys — za męczeństwo upadku.

„Pomimo tylu szlachetnych czynów i tylu dobrodziejstw dla społeczeństwa, nieraz biedna kobieta w chwilach zwątpienia lub filozoficznej apatyi zadawała sobie pytanie:

„Czyby nie było lepiej, gdybyśmy wtedy umarły obie z głodu?“

Na tem pytaniu kończy się powieść. Autor go nie rozstrzyga, pozostawia czytelnikowi wydanie wyroku na Lizetę. Sam czytelnik ma orzec: winna, czy niewinna, a raczej zasłużenie czy niezasłużenie jest wydziedziczoną z największych skarbów ziemi — z miłości. Ale autor nie staje na stanowisku bezstronnem, a występuje w roli adwokata. Przedstawia ją tak sympatyczną, tak pełną szlachetnych uniesień i szlachetnej dumy, tyle światła w niej skupia, a przeciwnie tak czarnem maluje jej otoczenie, że świeci ona i zachwyca jak dyament. W tym dyamencie jest wprawdzie skaza, ale czyż prawdziwy dyament ze skazą nie jest jeszcze droższym od szkła czeskiego? Czytelnik więc wzruszony, olśniony wymową autora, przykłada rękę do piersi i gotów powiedzieć: *niewinna!* (Dok. nast.)

TEATR.

(„Nelly Armroyd,“ dramat w 4 aktach a 8 obrazach W. Philippsa. Z angielskiego dla sceny lwowskiej przerobił Stanisław Dobrzański.)

Społeczeństwo angielskie z czasów Szekspira nieraz można było oglądać na deskach naszego teatru, ale obraz współczesnego społeczeństwa angielskiego bodaj czy nie po raz pierwszy w „Nelly Armroyd“ staje na nadpełtwiańskiej scenie. Nie jest to już *wesoła Anglia* z czasów Elżbiety; zmieniają się czasy, a z niemi obyczaje. Węgiel, okryty zieloną murawą, spał jeszcze sobie wówczas w najlepsze, podłożywszy kamienną pięść pod głowę; dziś łożyska jego stanowią państwa podziemne, w których kilkakroć stotysięcy ludzi prowadzi żywot pozbawiony dziennego światła. Że w tym węglanym świecie nie można zbyt wesoło się bawić, to pewna.

Tego samego zdania jest młoda Nelly Armroyd, żona pięćdziesięcioletniego górnika, Hioba Armroyd, który był przedtem jej opiekunem, potem się z nią ożenił, zapewne sądząc, że w lepsze ręce nie mógłby jej poruczyć. Trzydzieści lat różnicy wieku było między nimi, więc trzeba przyznać, że poczciwy Hiob postąpił sobie trochę nierozważnie. Nelly nudzi się, a nudy to niebezpieczna rzecz dla kobiety. Z pewnością, gdyby się Nelly nie nudziła, toby się panu Gilbertowi Featersthone, właścicielowi kopalni węgla, nie udało jej uwieść. A tak, stało się nieszczęście, Nelly uwieziona do Londynu. Zrozpaczony mąż rzuca kopalnię i idzie jej szukać, aby ją wyrwać z rąk uwodziciela, idzie nie jako mąż, ale jako opiekun: ojciec Nelly umierając, oddał mu ją w opiekę. Gdzie tu znaleść, Nelly gdzieś za granicą z kochankiem. Dopiero po kilku miesiącach podróży wracają do Londynu. Nelly jest ciągle smutna i płacząca, bo Nelly nawpół wbrew własnej woli została uwiezioną; dręczy ją ciągle myśl, że musiała w rozpacz wprawić najlepszego z ludzi. Do dawnych powodów smutku przybywają nowe: czuje się obcą w towarzystwie, w którem się nie wychowała, a przytem p. Gilbert przy dłuższem pożyciu okazuje się brutalem. Pewnego wieczora u pana Gilberta zebrało się wesołe towarzystwo; po dobrej kolacyi: muzyka, śpiewy; w tem

ktoś dzwoni. Otwierają się drzwi i nowy gość przybywa; jest nim Hiob Armroyd. Hiob domaga się zobaczyć Nelly; Gilbert nie chce mu jej ani oddać, ani nawet pokazać. Ale Hiob przyszedł z żelaznem postanowieniem, że nie odejdzie bez Nelly i dopina swego. W ostatnim akcie widzimy Nelly złamaną, śmiertelnie chorą, nie kochającą już Gilberta, a nie śmiącą myśleć o połączeniu się z Hiobem. Opiekuje się nią zabawna, ale zacna i dzielna Tiddy, krewna Armroyda, uosobienie zdrowia i wesołości, a z daleka czuwa nad nią Hiob, po nocach pracujący w kopalni, aby w dzień przynieść swój zarobek do Londynu i dowiedzieć się o zdrowiu Nelly. Zjawia się tu i Gilbert, zwabiony nadzieją ponownego uprowadzenia Nelly, i spotyka się z Hiobem. Spotkanie niemiłe. Hiob chce natychmiast rozprawić się na pistolety, ale czyż Gilbert może się strzelać z prostym górnikiem? Zresztą Gilbert jest skruszony, nie chce podnieść broni na Hioba i dopiero wyraz „tchórz“ pobudza go do zmierzenia się... Chwila — i dwa strzały padną, ale zamiast strzałów wypada blada Nelly i zasłania piersią swoją Hioba. Ona teraz tylko Hioba kocha, na jego zwisa ręku i umiera.

Opowiedziana tu główna treść sztuki ma barwę posępną, tragiczną. Jako kontrast do tych tragicznych cieniów występuje na drugim planie komiczna para, składająca się z Blinkera, strzelca pana Gilberta i znanej nam już Tiddy. Autor Nelly, wierny tradycyom angielskiego dramatu, przeplata ciągle sceny żałosne wesołemi, i tym sposobem utrzymuje widza w ciągłej równowadze ducha. Tendencya sztuki jest wybitnie społeczną, co poniekąd ma miejsce z uszczerbkiem strony artystycznej, postacie bowiem Gilberta i Hioba nie tyle są indywidualnymi charakterami, ile przedstawicielami różnych warstw społecznych. Ale z tej tendencyi wieje duch szlachetny, a przytem obrazki z angielskiego życia społecznego są bardziej pouczające od buduarowych scen francuskich dramatów. Dla tego Nelly Armroyd potrzeba powitać, jako bardzo szczęśliwy nabytek dla naszej sceny.

W tytułowej roli występowała pani Ładnowska. Niektóre ustępy jej gry mało pozostawiały do życzenia, ale całości zawsze nie było. Wyborną Tiddy była pani Zimajer, godnym jej Blinkerem p. Fiszer, na nich to wyłącznie leżał obowiązek bawienia publiczności, zasmuconej losami Nelly Armroyd i jej męża. Panu Ładnowskiemu dostał się Hiob, rola ciężka, szczególnie gdy trzeba tak odrazu z kopyta rozpaczać w kopalni węgla, a potem w tej najwyższej rozpaczy siadać na windę i powoli windować się do góry. Możnaby tę windę wyrzucić, bo przy rozpaczy Hioba trochę komiczne sprawia wrażenie. W następnych aktach rola Hioba jest znacznie lżejszą, co znać było i na grze p. Ładnowskiego. Rolę Gilberta oddał pan Kwieciński wcale przyzwoicie, to jest tak, jak tego rola wymagała.

W przeszły wtorek przedstawiono po raz pierwszy komiczną operę ks. Poniatowskiego „Don Desiderio.“ Ten książę Poniatowski, wychowany we Włoszech, mieszkał tam całe życie, i z nazwiska już tylko był Polakiem; jednakże w operze jego na tle muzyki włoskiej kilka razy przesuwają się rodzinne motywa nasze, jakby lekkie obłoczki na wiecznie uśmiechniętym błękicie włoskim i bardzo rzewne sprawiają nam polskim słuchaczom wrażenie. Zresztą oryginalnością motywów opera się nie odznacza, czuć tam Rossiniego i Donizettego, ale co nam to szkodzi, skoro wszystko to ładnie ułożone i przyjemnie się słucha. Gorzej jest z treścią libretta, obliczoną widocznie na smak lazaronów, a tak dziwnie ułożoną, że to co w niej mogłoby być mądrem, to się nie dała, przynajmniej z jednego przedstawienia, zrozumieć, jak np. sceny nieporozumień między kochankami, to zaś, co zrozumiałe, jest bardzo głupie i niesmaczne, jak np. ta cała sól glauberska w drugim akcie.

Panna Marco wyglądała prześlicznie, śpiewała doskonale, i śpiewała — po polsku. Można więc sobie wyobrazić, jak ją teatr oklaskiwał. Druga połowa oklasków dostawała się panu Zakrzewskiemu. Rolę Don Desideria piastował p. Zboiński i jako komik zrobił z niej co mógł, ale brakło mu trochę głosu do tej roli, która właściwie, jak utrzymują znawcy, powinna się była dostać p. Köhlerowi. *J. T.*

Tydzień lwowski.

Lwów dnia 14. lutego.

Nie w porę bym się wybrał, donosząc czytelnikom o śmierci papieża, bo jestem przekonany, nie ma zakątka w kraju naszym, gdzieby ta wieść smutna już nie dobiegła. Rzeczywiście, zgon tego zacnego i szlachetnego starca, tego ostatniego uczciwego człowieka, jak się wyraziła jedna z gazet angielskich, dotknął żywo całe społeczeństwo polskie, którego on był rzetelnym przyjacielem. Nieszczęścia zbliżają ludzi: wielki papież bez tronu, i szlachetny naród bez ojczyzny, musieli uczuć wzajemną sympatyą.

Opuszczony od wszystkich naród polski, przywykły od wieków troski i krzywdy swoje składać na łonie religii, w zmarłym papieżu znalazł przyjacielskiego pośrednika, który o ile mógł, choć bezskutecznie bronił go wobec napaści, przytulając zasmuconą dziatwę do szlachetnej piersi. Dzięki mu więc za to, że lepiej niż ktobądź inny potrafił zrozumieć przywiązanie i dobre serce Polaków, którzy umieją być wdzięcznymi nawet za słowa pociechy.

Dlatego nie dziwi nas ten powszechny i uroczysty objaw żalu, dla którego wstrzymano wszelkie publiczne zabawy, dla którego utworzono komitet, zajmujący się urządzeniem żałobnego nabożeństwa. W sobotę mają nastąpić w katedrze lwowskiej solenne egzekwie za duszę zmarłego Piusa IX, a komitet pragnąc aby kraj cały wziął udział w tym smutnym obrzędzie, zawezwał władze powiatowe, aby i po prowincyi toż samo uczyniły. W liczbie wezwanych znajduje się i Kraków, ten arcykatolicki Rzym mały, który w tym wypadku dał się wyprzedzić Lwowu. Nawet „Czas“, stary ceremoniant, ogłaszając śmierć papieża, zapomniał że należy się na znak żałoby dać czarną obwódkę, gdy wszystkie dzienniki lwowskie bez wyjątku w ten sposób uczciły zgon głowy kościoła... Tak więc ten niby heretycki Lwów zatryumfował wobec Krakusowego grodu, dlatego nie dziwilibyśmy się, gdyby tam w sposób epidemiczny wybuchła żółtaczka, a wszystkie nosy dumnych Krakowiaków spuściły się o cal jeden niżej ze wstydu... Sądząc z żółciowego usposobienia dla nas Krakowa, ewentualność ta jest bardzo możebną, zwłaszcza gdy sam prezydent w ostatniem przemówieniu na uczcie danej dla pana marszałka, tyle roztoczył żółto-czarnego kolorytu, napełniającego jego prezydentowskie serce, że jeżeli tylko potrafi usunąć czarną przymieszkę, żółtaczka gotowa.

A propos owej uczty, trzeba przyznać Krakowowi, że co się tyczy taktu obywatelskiego, posiada go w wysokim stopniu, którym umie sobie zjednywać przychylność. Przyjęcie jego excellencyi marszałka hr. Wodzickiego nosiło charakter publicznego uznania jego zasług i zobowiązania na przyszłość. Nie możemy przesądzać dalszej działalności naczelnika władz autonomicznych w kraju, lecz wnosząc z tego, co powiedział przy tej uczcie, aprobujemy z całą radością wszystkie jego na przyszłość naszą poglądy. Dostojny marszałek oświadczył bez ogródki, że w nas samych tylko spoczywa siła naszej przyszłości, że wypadki idą żwawym krokiem naprzód i niedalekim może być termin obrachunku europejskiego... Wtedy zapytają nas, kto my? i jakim prawem chcemy zasiąść na uczcie dorosłych ludów. Radził więc, abyśmy mieli na pogotowiu świadectwa naszej dojrzałości, owoce naszej pracy, dowody żywotności narodowej, a nie łzy i płacz żebraczy. Nędzarzom daje się lub nie daje jałmużna, lecz z ludźmi, żądającymi jednomyślnie udziału w pracy i życiu narodów, liczyć się trzeba. Otóż idzie o to, aby nie przyjść do tego obrachunku z pustemi sakwami i lamentującem spojrzeniem. Złote słowa, daj Boże, aby nie były grochem rzuconym o ścianę. Różne drogi prowadzą do Rzymu, i w różny sposób można służyć ojczyźnie; dlatego nie godzi się rzucać na nikogo kamieniem, jeżeli ten lub ów puszcza się do wspólnego celu inną drogą. Przedwczesne spory tylko utrudniają podróż, a gdy nie wszyscy razem zejdziemy się u bram tego Rzymu przyszłości, siły nasze nie wystarczą do szturmu.

Otóż widzicie czytelnicy, do czego to prowadzi żałoba rozbudzająca tak poważno-ciężkie myśli w głowie kronikarza waszego... Gdyby nie ta żałoba, miałem w projekcie opisać wam ruch karnawałowy naszego miasta, wszystkie nowe figury mazura, błyszczące ordery kotyliona, powiewne, srebrem tkane, sukienki tancerek, zionące ogniem rozkoszy spojrzenia tancerzy, dźwięk muzyki, blask świateł i tysiące tysięcy westchnień, szeptów, uściśnień drobnych rączek... Powiedziałbym wam, jak panna Marco śpiewała po polsku w Don-Desideriu, jak pan Zakrzewski krzyczał, a panna Skalska nie wiedziała, co zrobić z rękami, ale o tem dowiedziałem się w wiedeńskiej kawiarni, słuchając rozmowy dwóch krytyków zapijających kawę z rogalami. Wasz kronikarz liczy się do zasmuconych obywateli Lwowa i podczas żałoby nie idzie do teatru.

Zapowiedziany Piast księdza Stojałowskiego dotąd nie przyjechał z Kruszwicy, biedaczysko widocznie nie ma za co kupić sobie biletu jazdy i idzie piechotą, a że to droga daleka i trafił jak raz na roztopy, więc mimo pielgrzymiego kija poświęcanego w Rzymie, obawiamy się, czy nie umrze w Mościskach... Niech umiera już, kiedy ma taką ochotę byle nie we Lwowie, bo ksiądz Stojałowski przez usta i pióro jakiej niedoszłej korespondentki nakazałby nam żałobę..., a w takim razie humor waszego kronikarza musiałby się skierować na drogę moralizowania.

„Dziennik dla wszystkich“, mający jednak wychodzić nie co dnia, pod rzeczywistą redakcyą p. M. D. Chamskiego zapowiada, że 14 lutego ukłoni się wybranym prenumeratorom. Boże miłosierny, znów nowy organ na usługi redaktora, nieszczędzącego żadnych starań i kosztów, aby sobie zapewnić powieść do fejletonu pana M. D. Chamskiego, autora listów otwartych, byłego redaktora tylu byłych pism w różnych stolicach Europy... Szumny tytuł *dla wszystkich* przypomina owego pijanego żołnierza, któremu kazano na próbę przejść po jednej desce „Ja lepiej potrafię“ powiada z rozkoszną miną żołnierz, ja przejdę naraz po wszystkich. Otóż czy i nowy dziennik nie będzie chciał w ten sposób zdolności swych produkować...

Kiedy my tu we Lwowie rozkoszujemy się sanną i stroimy żarciki z pism jeszcze nieurodzonych, smutna flota smutnego oblicza synów Albionu puka do bram cieśniny Dardanelskiej, aby jej pozwolono obejrzyć choć koniec Złotego Rogu. Śmiech bierze, czytając depesze z Londynu, jak ten staruszek Derby poci się przed parlamentem, opowiadając o drobnych przeszkodach,

które nie pozwalają wpłynąć tej flocie na morze Marmora: „Daliśmy rozkaz, cofnęliśmy rozkaz, znowu daliśmy, ale Turcy nie dali, jednak muszą dać, i z pewnością dadzą firman... Rzeczywiście Anglicy wygrali sprawę, podobnie jak ów chłopak w sądzie, którego żona oczekiwała przed drzwiami. Jakże tam poszło Maciejowi? pyta syna wychodzącego z sądu. Wygrali tatuś — odpowiada synek. A czemuż ich nie widać? Zaraz przyjdą — mówi naiwnie syn Macieja — tylko ich wybiją...

Otóż pokazuje się, że szkoła Dardanelska, w której się tak długo ćwiczyli Anglicy, teraz gdy weszła pod zarząd moskiewski uległa kompletnej reformie: kary cielesne na akademików zostały nagle przywrócone i pani flota angielska nie wejdzie do niej bez nadwerężenia swych opancerzonych boków. A w Petersburgu się śmieją, i jak się śmieją! A majtkowie moskiewscy jadą wszystkiemi drogami, nawet przez Lwów neutralny, dla objęcia w posiadanie tureckiej floty. Sułtan z wielkim księciem zajada sorbety w pałacu Dolma-Bakcze i pali nargillę przypatrując się z okna skulonemu przed drzwiami Bosforu lewkowi wielkiej Brytanii. Dobrze im tak, tym kramarzom z nad Tamizy, frymarczącym krwią i sławą innych narodów... Znamy i my dobre serce Anglików, ich współczucie dla biednego narodu polskiego, z jakiem oswiadczał się w r. 1863 konsul angielski w Warszawie, z jakiem p. Mansfeld płakał razem z uciemiężonymi Unitami chełmskimi... Na naszych karkach wstrzymywano pochód Moskali do Konstantynopola już od dawnych czasów, niech też teraz przekona się Europa, jak to bolą razy kozackiej nahajki, którą jej jeszcze Napoleon I. przepowiedział. Po Anglii przyjdzie kolej na inne państwa, wierzące w humanitaryzm i słowa carów z nad Newy; nam te wszystkie rzeczy znane od dawna, bośmy przez kilka wieków wstrzymywali pochód nowoczesnej tatarszczyzny na Europę... a gdy znużeni walką poleglismy na tych przednich okopach, taż sama] Europa i śmierć naszę przypisała anarchii i swawoli szlacheckiej... Dziś Nemezys dziejowa mści za nas i jeszcze dalej mścić się będzie, dopóki sprawiedliwości dziejowej nie stanie się zadosyć, dopóki nie nastąpi rehabilitacya czci narodu walczącego tyle wieków za sprawę cywilizacyi, opartej na idei bohaterstwa, idei moralności i uczciwości społecznej.

Nic też dziwnego, że wobec tak wielkich wypadków, jakimi są śmierć Piusa IX i bezinteresowna obrona chrześciańskiej ludności w Konstantynopolu, wobec zachwianych podstaw bytu narodów i państw, zdruzgotanych ideałów prawa publicznego, które nam chrystyanizm i zdobycze cywilizacyjne przyniosły, na drugi plan schodzą mrówcze agitacye komitetu o wybór posła do Rady Państwa, lub wiadomość o prawdopodobnem zwołaniu Sejmu przy końcu kwietnia. Stoimy na przełomie dziejowych przeobrażeń świata, zdziwieni, odurzeni, niepewni jutra... Być może czas złożenia naszych rachunków niedaleki, zatem kochani czytelnicy przetrząśnijcie skrupulatnie wszystkie szufladki waszego sumienia, wyrzućcie z serca zaściankowe kwasy, a podawszy sobie ręce do uścisku, czekajmy spojeni jedną myślą o wspólnej sprawie, albowiem nie wiemy dnia ani godziny.

* * *

W szlachetnem oburzeniu *Ruch literacki* występuje w obronie M. Rodocia przeciwko napaściom recenzenta *Tygodnia*. I któż byłby się spodziewał, że p. Rodoć będzie potrzebował obrony! Nabożne to pismo bierze wyrażenie recenzenta *Tygodnia*: „Forma tu beranżerowska, zwinna i lekka, jak w poprzednich zeszytach, ale ten nowy rój os, wypuszczony przez p. Rodocia, prawie cały pomyka w jednę stronę, aby zatopić żądła w gęstych zastępach *politycznych* nieprzyjaciół poety" (Nr. 21. str. 331, szpalta 1.) i odpiera je wsposób następujący: „krytyk walkę z zasadami, z systemem i z wrogami Polski nazywa walką z *osobistymi* nieprzyjaciołmi poety. Dziwi nas zaprawdę, iż krytyk ten niewidzi w nich nieprzyjaciół całej Polski."

Cała ta obrona stałaby się nie potrzebną, gdyby *Ruch lit.* nie podsunął nam wyrazu *osobisty* zamiast *polityczny*. *Polityczni* nieprzyjaciele p. Rodocia nie potrzebują być jego *osobistymi* nieprzyjaciołmi i osobiście mogą się nawet nieznać wzajemnie. Polityczni nieprzyjaciele p. Rodocia są i naszymi pol. nieprzyjaciołmi, są stronnictwem, z którem walkę ciągle staczamy. Wprawdzie nie mamy tej zarozumiałości, aby siebie tylko uważać za całą Polskę i nazwy Polaka nie odmawiamy nikomu dla różnicy przekonań lub zasad, jak to czyni *Ruch lit.* Owszem, przeciwnie, nie tylko uznajemy potrzebę stronnictw w narodzie, ale wiemy, że każde społeczeństwo musi się dzielić na dwa wielkie stronnictwa: postępowe i konserwatywne, które, zostając w ciągłej walce umożliwiają normalny postęp. Stronnictwo postępowe, gdyby nie było przytrzymywane za poły przez konserwatywne, łatwoby zejść mogło na manowce i cały ustrój społeczny przewracałoby do góry nogami, jak również stronnictwo konserwatywne zamieniłoby społeczeństwo w chińszczyznę, gdyby postępowe nie pociągało go za sobą. Odmawianie więc prawa bytu któremukolwiek stronnictwu jest niedorzecznością. Że każde stronnictwo dzieli się na goretszych i powolniejszych, że nadto mogą się tworzyć koterye o widokach osobistych, że koterye lub jednostki mogą wykolejać się od prawidłowego rozwoju i zbaczać w kierunkach niewłaściwych, za to obwiniać całego stronnictwa nie można. Najgorszem może jest u nas to nie uznawanie potrzeby stronnictw i nawoływanie do jakiejś nikomu nie zrozumiałej i absolutnie nie możliwej, bo przeciwnej naturze żyjących społeczeństw jedności, zgody.

Ruch Literacki obroną swoją oddaje prawdziwie niedźwiedzią usługę panu Rodociowi, który może zawołać: Panie, broń mię od moich przyjaciół, bo od nieprzyjaciół sam się obronię.

LISTY Z KRAJU.

GŁOS W SPRAWIE OŚWIATY LUDOWEJ.

> — pracujemy wszyscy zgodnie na niwie cywilizacyi ludu; nie kłóćmy się o to, kto z nas powinien być przewodnikiem w tych usiłowaniach, tylko niech każdy z nas robi, co może.
>
> *T. Merunowicz.*

Niedawno — bo dopiero przed paru laty, dziwny prąd poruszył nasze społeczeństwo; myśl jedna rzucona jak kamyk na spokojne strumyka zwierciadło wywołała fale — fale zadrgały, rozeszły się, słabły i znowu w spokojne nieruchome jak przedtem zlały się zwierciadło. „Ludowi oświaty!" rozległo się u nas; echo silne odbiło się parę razy i słabnąc przycichło. Byli tacy, co patrząc na ruch ten nowy, na to nieznane dotąd poruszenie się mas, wzruszali ramionami z niedowierzaniem, ale więcej było takich, co poruszeni silnie prądem poczęli działać prawdziwie, szczerze, i działalność ich nie była bez skutku, oni może i dziś jeszcze pracują w cichości. A między pracownikami byli różni ludzie, różni stanem, różni nawet wiekiem, nawet młodzież szkolna poczuła w sobie powołanie do wzięcia udziału w tej sprawie, bo któż bliżej od młodzieży obcuje z ludem, kto łatwiejszy do niego umie uzyskać przystęp, jeźli nie umysł młody, serce nie zepsute, nie dające powodu do podejrzliwości, do której lud nasz tak skłonny zwłaszcza wobec osób innego stanu. Nawpółtajne stowarzyszenia pod nazwą „Nadziei" „Gwiazdy" i t. p. ożywiane najszlachetniejszą i najlepszą myślą chciały działać, może i działały nieco, ale naturalnie nie mając sił potemu, słabły i ustały. Ut desint vires, tamen laudanda voluntas. Ale czyż wszyscy równi pod tym względem szkolnej młodzieży? czyż wszystkim brak sił odpowiednich? Starsi, mniej unoszący się zapałem, ale biorący rzecz na rozum, rozpoczęli działać systematycznie i prowadzili dzieło wytrwale. Szlachetne i szanowne usiłowania księgarni A. Nowoleckiego w Krakowie i A. Młockiego we Lwowie okazały się w wydawnictwie książeczek treści historyczno-moralnej, napisanych językiem prostym i do pojęć ludu zastosowanym. Wskrzeszonym też został we Lwowie „Dzwonek" jako pierwszy pionier w trudnych z zaciętym żywiołem zapasach a później „Włościanin i „Zagroda" - pisano, mówiono wiele, dziś cicho. „Dzwonek" zadzwonił raz jeszcze po upadku, zdala od miejsca powstania i prędzej niż powstał umilkł, „Włościanin" i „Chata" wcale wielkiem nie cieszą się powodzeniem. Czy nam sił zabrakło i chęci? czy szlachetny zapał był tylko zabawką chwilową? Zapewne, trudno nam pozbyć się naszej pierworodnej wady, którą jest brak wytrwałości w przedsięwzięciu, ale nie należy się dziwić, że usiłowania, choćby najlepsze, zmarnieć muszą w walce tak nierównej, jaką jest walka z obojętnością. To smutne rozczłonkowanie się naszego społeczeństwa, którego każde ogniwo nie chce się troszczyć o drugie, ani na nic nie zważa, sobą tylko zajęte a nawet częstokroć sobie nawzajem nienawistne — to rozczłonkowanie wydaje tu pełne owoce.

Dobra i zdrowa myśl, ubrana w słowa prawdy i wiary, nakładem tego lub owego ofiarodawcy wychodzi z druku jako dziełko dla ludu przeznaczone. Aby osiągnąć mogło cel swój, musi rozbiedz się szybko i w jak największej liczbie egzemplarzy, rozbiedz się i być w rękach wszystkich tych, dla których przeznaczone. A zkąd się ma tam dostać? Lud sam nie kupi, bo na wszystko grosz wyda, ale grosz wydany na książkę uważa za wyrzucony; pan, dziedzic wzruszy ramionami, machnie ręką i powie: Ależ co chamowi po książce, niech lepiej kosą wodzi i cepami włada, to odpowie swemu zadaniu w społeczeństwie. Mało tylko znajdzie się takich, co myśl oświaty prawdziwie pojąć zdołali i według sił ją popierają. Ksiądz, który może częściej od innych zaglądnie do księgarni, oglądnie, przeczyta napis a przedewszystkiem spojrzy na podpis autora, czy jego nazwisku nie przoduje X., przyzna żeby to było może i dobre, ale co tam ci mędrkowie dzisiaj piszą; to wszystko ateusze, chcą wiarę naszą świętą u ludu podkopać, chcą nas sługi Chrystusa pozbawić powagi i wpływu, timeo Danaos et dona ferentes, książkę położy na miejscu, by ją znowu nowy pył do jakiego przykrywał czasu.

Więc któż ma być tym, coby ludowi tę karm, prawdziwą niebios rosę na stole postawił?

Kto zna lud, a zna go każdy, kto przynajmniej lat parę z nim obcował, wie jak głęboko jeszcze tkwi w nim to smutne przekonanie, że mu nikt dobrze nie życzy, że wszyscy a zwłaszcza panowie czyhają tylko, by go na nowo ujarzmić jarzmem „pańszczyzny". Ilekroć naród żywotność swoją chciał pokazać politycznie i wezwał do udziału i lud jako swą większą połowę, miał sposobność każdy przekonać się, jak lud zadrżał o egzystencyę swoją, jak nagle przemienił się z potulnego baranka w rozju-

szonego dzika, a wtedy był mimowiednie narzędziem tych, co tego tylko rozdwojenia czekali, by przeprowadzić szatańskie swe plany. Dziś może już mniej obawia się pańszczyzny, obawa powoli ustępowała z laty, ale każde zjawienie się we wsi urzędnika, czy geometry, czy wogóle obcego, zdaje się dla niego być straszną wróżbą powiększenia podatku, a ztąd popchnięciem go o jeden krok jeszcze bliżej przepaści, nad którą stoi.

Kto zna lud, wie o tem, o czem już powyżej wspomniałem, że grosz wydany na książkę uważa za wyrzucony, wyjąwszy grosz na książkę do modlenia się i inne religijne broszury. On na odpuście lub jarmarku chętnie zbliża się do kramu przekupnia, oglądnie nawet z przyjemnością tę i ową książeczkę i gotów kupić nieraz nawet rzecz bez wszelkiej wartości, jeżeli mu się spodoba. Ale kiedy zapytawszy o cenę usłyszy, że wynosi nieco więcej od „szóstki", uśmiechnie się, odwróci i odejdzie. Szóstkę możeby ostatecznie i wyrzucił, ale więcej? — A przecież lubi dowiedzieć się czegoś ze świata, co się dzieje lub co się ongi działo. Bywało, pamiętam, kiedym ze szkół średnich przybywał na wakacye i przywiózłszy z sobą parę książek, ustawiłem na półce, kiedy w niedzielę lub inne dni przyszło kilku osobliwie młodszych, nie obeszło się nigdy, by się nie zbliżyli do półki i z niekłamaną ciekawością nie pytali: co to, jaka to książka, jakiej treści, i byli mi niewymownie wdzięczni, gdym im coś dla nich stosownego pokazał i wypożyczył.

Kto zna lud, wie nakoniec, że oprócz spraw politycznych, krajowych, obchodzi go wszystko, a niepohamowana jest jego ciekawość do wszystkich wynalazków i odkryć. Zobaczywszy rzecz nową, chociażby drobnostkę, tak długo będzie oglądał i myślał, by dociec, jak to zrobione i do czego to służy, dopóki albo sam nieraz podziwienia godnym sprytem nie odgadnie albo z ust rzeczoznawcy zadowalniającego nie usłyszy objaśnienia. Tym sprytem odgaduje nieraz rzeczy takie i rozwiązuje zagadki, nad którymi człowiek uczony strawiłby nieraz dni i nocy wiele, tym sprytem powodowany tworzy nieraz trafne i zastanawiające kombinacye czy to w polityce czy nieraz nawet w mechanice domowych i rolniczych narzędzi.

Te i inne podobne kilkuletnie spostrzeżenia wyrobiły we mnie to przekonanie, że dążenie do oświaty ludowej na tej drodze, jak dotąd, stało się niemożliwem. To jednak nie przyprowadziło mię do zupełnego zwątpienia w powodzenie tej sprawy, ale mi odkryło inne drogi prostsze i jak sądzę, prawdziwsze.

Lud nie ufa wszystkim „czarnym" i tych się boi, ale ufa młodzieży. Nie nasyłać mu więc ludzi dla niego obcych, bo samo już podejrzenie wyrabia w nim niewiarę we wszystkie słowa, chociażby były prawdą jasną jak słońce. Poznać należy przedewszystkiem tych z pośrodka ludu, którzy częściowo przynajmniej jeżeli nie całkiem otrząśli się z przesądów i uprzedzeń kastowych, co są światlejsi i posiadają mir u swoich, a tacy posiadają go niezawodnie. W ich ręce i w ręce młodzieży powierzać dziełka, które są dla ludu przeznaczone. Powierzać dziełka, tak, ale nie w tym celu, by niemi kupczyli, ale aby je ludowi rozdawali zupełnie darmo. Nieskory do kupienia lud, przyjmie z wdzięcznością podarek i skorzysta zeń niezawodnie. Zkąd funduszów na opędzenie kosztów druku i przesyłek? zapyta ktoś wcale naturalnie. To jest jedyna trudność, jedyna i prawdziwa. O nią rozbijają się najlepsze chęci: dziedzic nie kupi dziełek, by je dać swemu ludkowi, bo stosunki jego a zwlaszcza posiadaczy mniejszych są dosyć opłakane; ksiądz nie kupi, bo mu się zdaje, że skoro wszędzie bieda to i u niego bieda, więc także narzeka i wzdycha za lepszymi czasami; lud nie kupi, bo nie ma za co w rzeczy samej, przyciśnięty okropną klęską pijaństwa i lichwy. A przecież naród cały ma jakąś materyalną siłę. Robimy tyle składek, nieraz nawet bez wielkiego pożytku, dajemy przedstawienia, koncerty, bale na tyle różnorodnych dobroczynnych celów, czyżby nie można urządzić coś i na ten cel najszlachetniejszy a najwięcej obowiązku na każdego wkładający. Są ludzie, którzy z prawdziwym talentem umieją pisać dla ludu; paroarkuszowa broszurka, pełna ziarn zdrowych i dobrych myśli, nie kosztowałaby ich wiele trudu, któregoby się chętnie podjęli, a groszem publicznym wydana książeczka, rozesłana, rozdana zrobićby mogła wiele. Zresztą po co nawet nowe wydawać; mamy dzięki usiłowaniom kilku szlachetnych ludzi dosyć dzisiaj dziełek poważnej i pożytecznej treści napisanych dla ludu, to zakupić najpierw i te rozdać. Mógłby mi ktoś odpowiedzieć, że biblioteki zakładane przy szkółkach ludowych mogą to samo uczynić, a nawet z lepszym i trwalszym skutkiem. Nie przeczę, ale gdyby książki były z trwalszego materyału. Lud książkę wypożyczy chętnie nawet za opłatą grosza (co za zupełnie niewłaściwe i chybione uważam), ale nie znając jej wartości materyalnej, przez właściwe sobie ze wszystkiem szorstkie obejście, temi samemi co cepy i kosę rękoma bierze książeczkę i bodaj gdzie ją porzuci. Książeczka się wnet zniszczy, zwłaszcza nieoprawna, a nadto często uważana jako własność wspólna pozostaje gdzieś na półce i nie wraca nazad do szafy księgozbioru.

Co zaś najważniejszem mi się wydaje, to jakiej treści mają być owe dziełka. Rzucono się przede wszystkiem do dziejów ojczystych i w rozmaity sposób i we wielorakiej formie starano się ludowi wpoić ich znajomość. Przyznaję - usiłowanie bardzo piękne. Ale czyż cała oświata ma się tylko opierać na poznaniu dziejów ojczystych? A lud nieraz wcale niechętnie tego rodzaju rzeczy czyta; nie słyszy tam bowiem nic o sobie, tylko o królach i szlachcie. „Panie - zapytał mię raz podeszły już wieśniak, kiedym mu ustęp z „Wieczorów pod lipą" odczytywał, a cóż nasi chłopi robili?" Musiałem mu rzecz opowiedzieć i dowiedział się gorzkiej smutnej prawdy, że jego przodkowie nie byli za część narodu uważani. Nie idzie zatem, abym był za usunięciem dziełek treści historycznej, ale chciałbym obok nich widzieć i inne z działu historyi wynalazków i historyi naturalnej. Z tej dziedziny bowiem i tej treści książeczki zajmuje całą jego uwagę i czyta je z największą przyjemnością. Nie obojętne mu są sprawy krajowe, ulepszenia w rolnictwie i gospodarstwie, ale przy tych ostatnich wymaga przedewszystkiem naocznego przekonania się o dobroci i pożytku nowej rzeczy, bo w teoryę nie wiele wierzy, tem bardziej, że co do rolnictwa i gospodarstwa jest największym konserwatystą. Z wielkiem zajęciem czyta projekta reformy w ekonomii, wierzy że możeby to było dobre, ale woli zostać przy starem. Bogu dzięki dziś coraz więcej wierzy, że zmiana w dotychczasowym sposobie gospodarowania jest konieczną, ale powoli do tego się bierze i z niedowierzaniem.

Zjawisk przyrody sam nie bada i przyczyny ich nie docieka. Tak P. Bóg chce i robi, to jego filozofia natury, ale wytłumaczenie zrozumiałe przyjmuje, chociaż je podaje pod pręgierz swego rozsądku. Dziwi go, zkąd ludzie do zbadania tej lub owej rzeczy dojść mogli, ale uwierzy, jeżeli nie w prawdę, to przynajmniej w możliwość i chętnie się zastanawia.

Uzupełnieniem treści dziełek ludowych muszą być zawsze ile możności dobre illustracye. Lud lubi ryciny i obrazy i zdobi niemi ściany swej chaty; a choć nie ma wybrednego gustu i smaku estetycznego, umie się poznać na pięknie. Książeczka illustrowana podwaja jego ciekawość i uzupełnia i objaśnia to, czego może szczupłym pojęcia zakresem pojąć by nie mógł.

Oto moje uwagi, oparte na doświadczeniu a wywołane Waszem ogłoszeniem, że chętnie otwieracie kolumny pisma waszego dla spraw dotyczących oświaty ludowej. Czas by był, byśmy rzecz tę wzięli na seryo, z mniejszym może zapałem, który u nas jest chwilowym, a z większą rozwagą i taktem w postępowaniu, i byśmy nie pozwolili zmarnieć temu ziarnu wśród chwastów i cierni nietylko bez owocu, ale nawet bez rozwoju. Smutno bo się robi, patrząc na naszą obojętność dla sprawy, w której może największa i najpotężniejsza część naszej przyszłości spoczywa. Obojętność owa jest w części uzasadniona, ale u tych, którzy pojmują, że tylko wtedy oświata przyjąć się będzie mogła, gdy lud nieco w materyalnym podniesie się bycie. Prawda, byt materyalny wielką tu od grywa rolę, bo trudno oderwać lud od codziennego życia i prawić mu o wielkich prawdach, gdy ta rzeczywistość przykuwa go do ziemi, czy to nędzą w chacie w postaci nieodzianych i nienakarmionych dzieci, czy to obawą o przyszłość w postaci żyda lichwiarza. Ależ to przedewszystkiem należy mieć na oku, że właśnie przez rozjaśnienie umysłów, przez wytknięcie złego a wskazanie drogi dobrej, może lud wejść na właściwe tory, trzeba baczyć na to, że umoralnienie z jednej a rozwój umysłu i zakres wiedzy z drugiej strony, wyrwać go tylko mogą z tego zaczarowanego koła sąsiedzkich sporów, niezgód i kłótni, popadania w ręce żydów wskutek pożyczek na procesy, że tylko prawdziwa oświata sprowadzi polepszenie bytu materyalnego i z nim iść będzie w parze.

Roman Zawiliński.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Antoni dr. J.* Nowe opowiadania historyczne 8ka, str. 381. Lwów 1878. 3 złr.

— *Crookes William.* Rzeczywistość. Uwagi nad poszukiwaniami w dziedzinie zjawisk duchowniczych (spirytystycznych) w latach 1870—1873. 8ka, str. 28. Lwów 1878. 30 ct.

— *Praktyczny kucharz* warszawski, zawierający 1500 różnych potraw oraz przepisy przyrządzania zapasów spiżarnianych i pieczenia ciast 8ka, str. 48 Warszawa 1877 zeszyt I. z policzeniem i za ostatni 40 ct.

— *Sewer.* Na pobojowisku epizod z wojny 1871 roku 8ka, str. 182. Lwów 1877. 1 złr.

— *Z teki wiejskiego szlachcica.* 8ka, str. 107. Lwów 1878. 1.40.

Wiadomości z kraju i ze świata.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

Na *Złote myśli* zapisali się:

10. Wny Wincenty Podlewski z Czernicy.
11. Wna Wanda Younga z Trzcieńca
12. Wny Edward Rozwadowski z Turówki.
13. JW. hr. Elżbieta Dzieduszycka z Budyłowa.
14. Wny Stanisław Śmielewicz z Ćwiekliną.
15. Wna Władysława Bohosiewicz z Milowa.

Literatura, sztuka i nauka.

— Niestrudzony nasz historyk, sędziwy W. A. Maciejowski, oddał do druku swą nową pracę „O Żydach w Polsce," która wyjdzie w osobnej książce z drukarni Kowalewskiego w Warszawie.

— W Tarnopolu zaczęło wychodzić pismo p. t. *Podolanin.* W ogóle pisma prowincyonalne nie mają u nas powodzenia, gdy przeciwnie w Królestwie Polskiem wychodzą prawie we wszystkich większych miastach jak Lublin, Łodź, Kalisz, Kielce, Piotrków, Płock, a obecnie zapowiadają ukazanie się pisma w Łomży. Pod zaborem pruskim także sporo pism wychodzi po mniejszych miastach jak Toruń, Pelplin, Chełmno, Piekary. Pisemka po większych miastach znacznie by się mogły przyczynić do podniesienia oświaty i rozbudzenia życia. Pisma takie jednak muszą być przedewszystkiem lokalne i interesować miejscową publiczność. Wszakże jeżeli Lwów nie może zdobyć się na Kuryera, któryby się stał organem klas mniej wykształconych, trudno oczekiwać, aby mniejsze miasta wyprzedziły go w tej mierze.

— Cywilizacya niemiecka. Niejaki p. Jan Bloch miał w Berlinie odczyt publiczny: „O wewnętrznem urządzeniu domu Bismarka."

— Stanisław Grudziński (poeta), objął redakcyę *Tygodnika powszechnego.*

— Pedagogika na bardzo niskim w Warszawie znajduje się stopniu. Dość ożywiony ruch, przejawiający się przed kilkoma laty na niwie piśmiennictwa pedagogicznego, zamarł oddawna, tak, że bardzo trudno obecnie się spotkać w organach prasy z artykułem, poświęconym sprawom wychowania, nie mówiąc już o specyalnych książkowych lub broszurowych opracowaniach pedagogicznych kwestyi. Na dowód niskiego tam stanu pedagogicznej oświaty przytoczyć można okoliczność, że nawet ogłoszony przed kilkoma laty przez redakcyę *Bluszczu* konkurs na opracowanie dzieła: „O wychowaniu macierzyńskiem," spełzł na niczem, przysporzywszy literaturze naszej pedagogicznej ledwo dwa czy trzy nieudolne usiłowania. Obecnie jednak redakcya „Bluszczu" w ostatnim numerze tego pisma powtórnie ogłasza ten konkurs, szerokie dając wskazówki do traktowania przedmiotu. Wychowanie macierzyńskie, podług pojmowania redakcyi „Bluszczu," ogarnia tak syna jak córkę i trwa od pierwszych chwil życia do dojrzałości. Jak matka dopełnić ma tego zadania — oto zagadnienie, które w konkursowem dziele ma być rozwiązane, a

które redakcya „Bluszczu“ rozkłada na kilkanaście szczegółowych kwestyi. Redakcya pozostawia piszącemu zupełną co do planu dzieła i poglądów swobodę, żąda zaś tylko odeń „jasności, obrobienia i ducha etycznego.“ Potrzeba matkom naszym pomocy — konkluduje ona — działającej zarówno na umysł, jak i na serce, stawiającej im przed oczy w dziele wychowania wysoki ideał społecznych obowiązków i duchowych przeznaczeń człowieka, który nie samym tylko chlebem żyje. Rękopismy na konkurs mają być nadsyłane do księgarni M. Glücksberga w Warszawie, najpóźniej do 1. kwietnia 1879 r., a oddane będą do ocenienia komitetowi, złożonemu z osób, których nazwiska w dniu zamknięcia konkursu ogłoszone zostaną. Nagroda dla najlepszego dzieła rs. 200, przyczem własność rękopisu pozostaje przy autorze, z zastrzeżeniem pierwszeństwa nabycia rękopisu dla wydawcy „Bluszczu.“ Nazwiska autorów powinny się znajdować w kopertach zapieczętowanych z odpowiednim znakiem.

— Pod tytułem „Stopniowana droga do książki“ pan Wincenty Trybulski wydał świeżo pracę swoją pedagogicznej treści, zadaniem której jest zastąpienie elementarza, w trudnem zadaniu uczenia dzieci sztuki czytania i pisania. Odrzucając stanowczo dawną metodę sylabizowania, jako zawiłą i obałamucającą umysły dziecięce, i idąc w tej mierze w ślad za Haestersem, Scherrem, Uszyńskim i Jeskem, w przywiedzionej pracy trzyma się metody tak zwanej głoskowej czyli naturalnej. Dziecko uczone tym sposobem, najprzód zaznajamia się z głoskami składającemi wyraz, a potem dopiero poznaje drukowane i pisane znaki, czyli litery na oznaczenie pewnych dźwięków używane. Jest to metoda zalecana przez wszystkich nowszych pedagogów. Pan Trybulski cały kurs nauki czytania i pisania objaśnił nader szczegółowemi wskazówkami, dającemi możność każdemu, nawet specyalnie do tego nieprzysposobionemu, prowadzić pierwiastkową naukę dzieci według tego udoskonalonego systemu. Jest to zatem jednocześnie wyczerpujący podręcznik dla nauczycieli. Uzupełnieniem jego jest ruchomy alfabet, na którym dziecko wybornie z oddzielnych liter uczy się składać wyrazy, unikając tym sposobem mozolnej nauki sylabizowania. Staranne opracowanie podręcznika pozwala nam zalecić pracę p. Trybulskiego nie tylko pedagogom z powołania, ale także matkom i tym wszystkim, którzyby zająć się chcieli początkowem uczeniem dzieci.

— Dowiadujemy się, że hr. Władysław Koziebrodzki, autor paru komedyj, uległ niedawno smutnemu wypadkowi.

Znajdując się na polowaniu, w którem uczestniczyło wielu myśliwych, ugodzony został wypadkowo przez jednego z nich w nogę.

Rana nie jest niebezpieczną, wymagać jednak będzie dość długiej kuracyi, przez czas której raniony będzie musiał chodzić o kulach.

— W bogatym pamiątkami albumie pani N. z hr. R. W. znajdujemy interesujący przyczynek do wspomnień o Dawisonie. Wiadomo, że sławny ten swego czasu artysta wygwizdany we Lwowie skutkiem zawiści kolegów swoich, porzucił scenę polską na zawsze i w Niemczech zyskał majątek, sławę i cześć. Mimo tego tęsknił do kraju, szukał towarzystwa rodaków za granicą i w gronie ich z upodobaniem deklamował ukochaną przez się „Alpuharę“ Mickiewicza. Ostatnie lata spędził w Dreznie w melancholii z obłąkaniem graniczącej, a gdy skończył pełne sławy i cierpień życie w r. 1871, rodacy w Dreznie nie wyparli się ziomka i gromadnie ostatnią mu oddali posługę. Mimo przywiązania do kraju, z goryczą się odzywał o pierwszych swych występach we Lwowie. Oto co pisze w wymienionym albumie:

„Der Vogel würde bis zur Stund
Die Flügel nicht kennen, hätte der Hund
Nie nach ihm geschnappt und ihn aufgejagt...“
(Hebbel — Michel Angele).

Posen, im Mai 1854. Bogumił Dawison, na pamiątkę od ziemczalego rodaka.“

Nekrologia.

— W kronice żałobnej z. m. zaznaczyć wypada zgon dwóch polskich pisarzy: Józefa Jerzmanowskiego i Hipolita Jaworskiego. Pierwszy urodzony 1814 roku w Wilamowicach, długi czas urzędował w Warszawie w komisyi skarbu, następnie osiadłszy w Krakowie pisywał do „Przyjaciela Ludu.“ Do najlepszych jego prac należy: „Historya uniwersytetu warszawskiego.“ Zmarły Jaworski pisał wspomnienia z pobytu na wschodzie; zmarł w Brukseli 2. grudnia na apopleksyę.

† Z guberni grodzieńskiej donoszą, iż w końcu zeszłego roku zmarł tamże w majątku swoim Lipowie, Ignacy Onichimowski, który pod pseudonimem Ziemisława Szczerego zasilał pisma warszawskie pracami swemi wierszem i prozą. W roku zeszłym między innemi w „Kłosach“ drukował zajmującą monografię p. t. „Pińsk i Pińszczyzna.“

ROZMAITOŚCI.

— Historya nad historyami!

W pewnem kółku znajomych, ktoś przytoczył wiadomość podaną niedawno w jednym z pism warszawskich o wilku, który usadowiwszy się nieproszony na saniach wieśniaka, używał bezpłatnej szlichtady.

Wiadomość ta jednak wywołała u obecnych tylko uśmiechy niedowierzania i już chciano zakonkludować, że to nie był wilk, lecz kaczka... reporterska, kiedy milczący dotąd p. K., sędziwy obywatel z radomskiego, odezwał się mniej więcej w te słowa:

Moje państwo słuszność, że to nie był wilk, ale też nie uwierzę żeby to była kaczka, jak ją tam nazywacie, reporterska, chociaż, pomimo że jestem starym myśliwym i że znam cyranki, krzyżówki, łyski, podgorzałki i inne, nie znam przecież tego nowego widać gatunku: to, panie, mówiąc prosto, musiała być wilczyca.

Oto co się mnie samemu wydarzyło.

Ze dwadzieścia lat temu, jakoś w końcu marca, wybrałem się z pod Grójca, wraz z żoną odwiedzić zamężną córkę, zamieszkałą w radomskiem.

Sanna jeszcze się trzymała, chociaż z powodu odwilży rzeki już puściły.

Jechaliśmy starą karetą na saniach; z tyłu był przywiązany tłumok z rzeczami.

Z tej strony Białobrzegu, o dobrą milę przed przewozem na Pilicy, uczułem jakby szarpnięcie za sobą.

Myśląc, że złodziej obrzyna tłumok, odwróciłem się i spojrzałem przez małe okienko w tyle pudła karety, i wyobraźcie sobie państwo moje zdziwienie, gdy zamiast rzezimieszka, ujrzałem ogromne wilczysko z wywieszonym ozorem, całe zmoczone czy spocone, które ziejąc i sapiąc, leżało rozciągnięte na tłumoku.

Broni nie miałem z sobą, nie chcąc też przestraszać żony, zawołałem tylko na furmana, żeby spojrzał na tłumok i ściągnął w tył biczem.

Mój stary Bartłomiej powstał, odwrócił się, popatrzył, ale zamiast odegnać bestyę, zbladł tylko, uchylił czapki, przeżegnał się trzy razy, znacząco pokiwał głową, ujął silniej lejce, bo konie zaczęły już strzydz uszami i chrapać, a przechyliwszy się ku mnie, szepnął półgłosem z wyrazem politowania i prośby: „niechta, panie, już siedzi, kiedy takie na niego boskie skaranie!“

Te słowa przywołały mi na pamięć podania o wilkołakach, w istnienie których Bartłomiej widocznie mocno wierzył.

Gdybym miał był z sobą moją lepażówkę, z której tylu już wilków sprzątnąłem, byłbym przekonał Bartłomieja, że skóra mniemanego wilkołaka nie gorsza od innej wilczury; ale bezbronny, machnąłem tylko ręką i przez szybkę landary przypatrywałem się kudłatemu towarzyszowi podróży.

Wilczysko było niepomiernie grube, przeciągało się, przewalało z boku na bok, kładło na brzuchu i widocznie było zadowolone z jazdy, bo też moje siwki szły wyciągniętego kłusa.

Raz jeden wzrok mój spotkał się z oczami bestyi, i rzecz dziwna, nie tylko nie dostrzegłem w nich zwykłego krwiożerczego iskrzenia się, ale raczej zdawały się przybierać jakiś wyraz przymilenia się czy zalotności, jak gdyby przepraszając za impertynenckie wkwaterowanie się na sanki.

Gdyśmy dojeżdżali do przewozu, wilk podniósł się, wyjrzał z za pudła i w bok zeskoczył, a my wraz stanęliśmy nad brzegiem Pilicy.

Tu dopiero czekając na prom, który był po drugiej stronie, opowiedziałem żonie i kilku znajomym, których zastałem u przewozu, w jakiej to przyjechaliśmy kompanii.

Bartłomiej, z miną tajemniczą i poważną widocznie opowiadał toż samo kilku wieśniakom; ale wyznać muszę, że o ile moi znajomi uśmiechali się tylko z niedowierzaniem, o tyle znów słuchacze Bartłomieja potakująco kiwali mu głowami. Tymczasem prom nadpłynął; wpakowano na niego moje sanki, parę sań i wozów chłopskich podróżni poumieszczali się jak mogli, i już przewoźnicy odbijali od brzegu, kiedy nie wiedzieć zkąd, nadbiegł jeszcze ostatni pasażer i jednym susem stanął na statku... wilk, jak mi Bóg miły, ten sam wilk, którego z sobą przywiozłem.

Na taką niespodziankę, zaczęliśmy rejterować w drugi koniec statku wieśniacy zaczęli się żegnać, kobiety z krzykiem chować za sanie i wozy, kilku z nas chwyciło, co kto miał pod ręką, dla obrony w razie napaści, jeden z przewoźników podniósł nawet w górę wiosło, żeby ugodzić bestyę, ale go drugi powstrzymał.

Nie występując więc zaczepnie, czekaliśmy z niepokojem, co dalej będzie.

Tymczasem wilk strząsnął się, popatrzył na nas, przysiadł na tylnych łapach, ziewnął i najspokojniej położył się na opróżnionem przez nas miejscu.

Markotno mi było, że bestya nic sobie z nas nie robi; po przejściu też pierwszego strachu, starałem się podburzyć załogę, żeby wspólnemi siłami uderzyć na wilka, ale wszelkie namowy były daremne, wieśniacy bowiem utrzymywali stanowczo, że w tym wilku pokutuje dusza zmarłego przed trzema laty Hryćka, cygana, co kradł konie, a dla odstraszenia pastuchów zaszywał się w kożuch, i wyjąc udawał wilka, że więc nietylko biednemu potępieńcowi nic złego nie zrobią, ale i nam krzywdzić go nie pozwolą.

Na takie dictum nie było co robić.

Czy i wilk wiedział o tej bajce i liczył na ludzkie przesądy, czy zaufał naszej gościnności lub tchórzostwu, — dość, że w pośród dwudziestu ludzi i zajmując honorowe miejsce na statku, przeprawił się przez Pilicę, pierwszy wyskoczył na brzeg, pogardliwie machnął kitą, niby na pożegnanie, i znikł w pobliskich zaroślach.

Otóż, moi panowie trzeba wam wiedzieć, że to była szczenna wilczyca, która ze swej zwykłej kniei przeszła była po lodzie na drugi brzeg rzeki i zapędziła się widać daleko.

Zmęczona, nie mogła już wpław przebyć rzeki, zwłaszcza że kra płynęła, a czując przytem zbliżającą się chwilę krytyczną, wprosiła się naprzód na moje sanie a potem na statek, żeby się prędzej dostać do gniazda, które sobie zawczasu już obrała, — o! bo to bestje zmyślne i ryzykowne!“

I skończył na tem p. K.

— Wyższa naiwność znamionuje jedno z ostatnich postanowień ministerstwa chińskiego. Jak wiadomo, zeszłego roku srożyła się w wielu okolicach Chin północnych i środkowych straszna klęska głodowa, której ofiarą padło mnóstwo ludzi. Później przyłączyły się do tej klęski jeszcze epidemie. Otóż niedawno, jak donoszą dzienniki angielskie, ministerstwo chińskie odbyło walną naradę nad tem, w jakiby sposób należało załagodzić gniew bogów, ażeby na przyszłość uchronić państwo od plag takich, i postanowiło, że cesarz Kwang su powinien przedewszystkiem zmienić nazwisko, wskutek tego bowiem — podług mądrości mandaryńskiej, bogowie będą zmuszeni „zasuspendować“ wszystko złe, co już wymierzyli przeciw Chinom, zostającym pod panowaniem Kwang-su'a. O coś podobnego i w Europie nie łatwo.

OBLĘŻENIE BERLINA.

przez

Alfonsa Daudet'a.

Szliśmy ku polom Elizejskim z doktorem V. pytając murów poprzebijanych pociskami, powywracanych przez kartacze trotuarów, o historyę Paryża z ostatniego miesiąca, gdy wtem doktor się zatrzymał i pokazując jeden z tych wielkich domów narożnych, tak pompatycznie ugrupowanych około łuku tryumfalnego: „Czy widzisz — rzekł — te cztery okna zamknięte, tam wysoko, na balkonie? w pierwszych dniach miesiąca sierpnia, tego strasznego miesiąca sierpnia z roku zeszłego, tak pełnego burz i nieszczęść, byłem wezwany tam z powodu piorunującej apopleksyi. Było to u pułkownika Jouve, kirasyera z pierwszego cesarstwa, starca, upojonego sławą i bona-

partyzmem, który od samego początku wojny, przeniósł się na pola Elizejskie, i najął mieszkanie z balkonem..... Zgadnijcie dla czego? Aby widzieć tryumfalne wejście naszych wojsk... Biedny stary, wiadomość o Wissemburgu doszła doń w chwili, gdy wstał od stołu. Czytając podpis Napoleona pod biuletynem, donoszącym o tej porażce, upadł rażony apopleksyą.

Zastałem starego kirasyera leżącego na dywanie, z krwawą twarzą i bezwładną, jakby był otrzymał uderzenie maczugą po głowie. Gdy stał, musiał być bardzo wysokim; gdy leżał robił wrażenie olbrzyma. Piękne rysy, przepyszne zęby, las białych fryzowanych włosów, ośmdziesiąt lat, które robiły wrażenie sześćdziesięciu... Przy nim wnuczka na kolanach i we łzach. Podobną była do niego. Widząc ich tak jedno przy drugiem, rzekłbyś, że to dwa piękne medale greckie odbite w jednej formie, tylko, że jeden z nich starożytny, trochę wytarty, a drugi czysty i połyskujący z całym blaskiem i wyrazistością świeżego odcisku.

Wzruszyła mię boleść tego dziecka. Córka i wnuczka żołnierza miała ojca w sztabie Mac-Mahona i obraz tego wielkiego starca rozciągnionego przed nią na ziemi wywoływał w jej duszy inny obraz, niemniej straszliwy. Uspokajałem ją jak mogłem; lecz co do mnie, mało żywiłem nadziei. Mieliśmy do czynienia z pięknym przykładem Hemipiegli*), a nie wychodzi się z niej, gdy się ma lat ośmdziesiąt. Przez trzy dni chory był ciągle w tym samym stanie bezwładności i osłupienia... w tym czasie przyszła do Paryża wiadomość o Reischoffennie. Przypominasz sobie w jaki dziwny sposób. Do wieczora wszyscyśmy wierzyli w wielkie zwycięstwo, dwadzieścia tysięcy Prusaków zabitych, następca tronu wzięty do niewoli... Nie wiem jakim cudem, jakim prądem magnetycznym, echo tej radości narodowej doleciało do naszego biednego głuchoniemego: gdym się tego wieczora zbliżył do łóżka, miałem już innego człowieka przed sobą. Oko było prawie czyste, język mniej ciężki. Miał nawet siłę uśmiechnąć się do mnie i wybełkotał dwa razy: „Zwy... cię...stwo!...

— Tak, pułkowniku, wielkie zwycięstwo! — I gdym mu rozpowiadał o szczegółach tego pięknego powodzenia Mac-Mahona, rysy się jego ożywiały, twarz się rozjaśniała...

Gdym wychodził, czekała na mnie blada wnuczka przed drzwiami. Łkała.

— Przecież on uratowany! — powiedziałem biorąc ją za ręce.

Nieszczęśliwe dziecko zaledwie miało odwagę mnie odpowiedzieć. Właśnie rozlepiano biuletyny o prawdziwym Reischoffenie, o ucieczce Mac-Mahona, o rozbitej, zgnieconej armii... Popatrzyliśmy na siebie zatrwożeni. Ona rozpaczała myśląc o ojcu. Ja drżałem na myśl o starcu. Nie zdołałby się oprzeć temu nowemu wstrząśnieniu.. A jednak co robić?... Czy pozostawić go w radości i złudzeniu, które mu życie wróciło!... Lecz wtedy trzebaby było kłamać...

— A więc będę kłamała! — Powiedziało mi heroiczne dziecko ocierając prędko swe łzy — rozpromieniona wróciła do pokoju dziadka.

Trudne zadanie wzięła na siebie. W pierwszych dniach szło jeszcze jako tako. Poczciwiec miał słabą głowę i dawał się oszukiwać jako dziecko. Lecz z powracającem zdrowiem umysł jego stawał się jaśniejszym. Trzeba go było objaśniać ciągle o ruchu wojsk, podawać wojenne biuletyny. Litość brała, patrząc na to ładne dziecko pochylone dzień i noc nad kartą Niemiec, wkłuwające szpilki z chorągiewkami, starając się ułożyć całą świetną kampanię: Bazaine maszerował na Berlin, Frossart w Bawaryi, Mac-Mahon nad Bałtykiem. Radziła się mnie o to wszystko i jam pomagał o ilem mógł; lecz najwięcej nam pomocnym w tej wymarzonej inwazyi był sam dziadek. Przecież on już tyle razy zdobywał Niemcy za pierwszego Cesarstwa! Zawsze wiedział naprzód o ruchach wojsk: „Teraz tam pójdą... Oto co mają teraz do zrobienia..." i wszystkie te jego przewidywania spełniały się do joty. Wbijało go to w dumę. Lecz na nieszczęście, mimo to, żeśmy zdobywali miasta, wygrywali bitwy, nigdyśmy nie szli dość prędko dla niego. Ten starzec był nienasyconym!.. Za każdą razą, gdym przychodził dowiadywałem się o nowem jakiemś zwycięstwie: „Doktorze zdobyliśmy Moguncyę"! — mówiła dziewczynka, wybiegając naprzeciw mnie z uśmiechem — i słyszałem z drugiego pokoju głos radośny, który krzyczał: „Jakoś to idzie! jakoś to idzie!... za tydzień wejdziemy do Berlina." Właśnie w tej chwili, Prusacy znajdowali się o tydzień drogi od Paryża... Chcieliśmy naprzód przewieść chorego na prowincyą, lecz widząc stan Francyi, byłby się o wszystkiem dowiedział, a był jeszcze tak słabym, że nie zniósł by nowego wielkiego wstrząśnienia. Zdecydowano się pozostać.

Pierwszego dnia osaczenia poszedłem do nich, przypominam sobie, bardzo wzruszony, z tem uczuciem strachu w sercu, któreśmy wszyscy nosili po zamknięciu bram Paryża, oczekując bitwy pod murami. Znalazłem poczciwca siedzącego na łóżku, dumnego i wesołego:

— No nareszcie już się zaczęło oblężenie!

Popatrzyłem nań zdumiały.

— Jakto pułkowniku, już wiecie?...

Jego wnuczka odwróciła się ku mnie:

— A tak doktorze. To wielka nowina... Oblężenie Berlina już się rozpoczęło.

Mówiła to zajęta szyciem, z wyrazem twarzy zupełnie spokojnym i poważnym... I rzeczywiście mógł nic o prawdzie nie wiedzieć. Huk dział z fortec nie dochodził do wnętrza Paryża, a ze swego łóżka widział tylko przez okno część łuku tryumfalnego i w pokoju mnóstwo pamiątek z pierwszego cesarstwa, które go utrzymywały w złudzeniu. Portrety marszałków, sztychy bitew, król krymski w dziecinnem ubraniu; potem wielkie sztywne konsole ubrane w trofea założone cesarskiemi relikwiami, medalami, bronzami, kawałkiem skały z wyspy Św. Heleny pod kloszem... Dzielny pułkownik! to ta atmosfera zwycięstw i zdobyczy więcej niż to, cośmy opowiadali, kazała mu wierzyć naiwnie w oblężenie Berlina.

Od tego dnia, nasze wojskowe operacye były już znacznie uproszczone. Zdobycie Berlina było już tylko rzeczą cierpliwości. Od czasu do czasu, gdy stary nudził się nadto, czytano mu list od syna, list naturalnie wymyślony, gdyż nic nie przychodziło do Paryża, i gdyż od Sedanu adjutant Mac-Mahona znajdował się w jednej z fortec niemieckich. Możecie sobie wyobrazić rozpacz tego biednego dziecka, bez żadnej wiadomości od ojca, wiedząc iż jest w niewoli, pozbawiony wszystkiego, może nawet chory, rozpacz dziecka zmuszonego do pisania listów wesołych, trochę krótkich, w ogóle takich, jak pisze żołnierz posuwający się ciągle naprzód w zdobytym kraju. Nieraz brakło jej siły; całemi tygodniami nie było wiadomości. Lecz stary niecierpliwił się i nie mógł zasnąć. Wtedy nadchodził szybko list z Niemiec, który odczytywała wesoło przy łóżku, starając się łzy powstrzymać. Pułkownik słuchał z nabożeństwem, uśmiechał się, potwierdzał, krytykował, objaśniał nam miejsca niejasne. Lecz najwznioślejszym był w odpowiedziach, które posyłał synowi „Nie zapominaj nigdy, że jesteś Francuzem, — powiadał...— Bądź wspaniałomyślnym dla tych biednych ludzi, nie czyń im najazdu zbyt uciążliwym..." Były tam polecenia bez końca, uwielbienia godne, kazania o szanowaniu własności, o grzeczności dla kobiet, prawdziwy kodeks honoru wojskowego na użytek zwycięzców. Nieraz wplątał kilka uwag ogólnych o polityce i o warunkach pokoju, któreby trzeba było nałożyć zwyciężonym. Pod tym względem nie był wymagającym: „Koszta wojny i nic więcej... Po co im odbierać prowincyę?... Czyż z Niemiec można zrobić Francyę?..." Dyktował to pewnym głosem i czuło się tyle skromności w jego słowach, tyle pięknej wiary patryotycznej, że niepodobna było słuchać bez wzruszenia.

Tymczasem oblężenie posuwało się naprzód; lecz nie Berlina niestety!... Była to chwila wielkiego zimna, bombardowania, epidemii, głodu. Lecz dzięki naszym staraniom, naszym trudom, niezmordowanej czułości, którą go otaczano, spokój starca nie był ani razu naruszony. Aż do samego ostatka mogłem mu dostarczać białego chleba i świeżego mięsa. Było to tylko dla niego, i nie możecie sobie wyobrazić nic bardziej wzruszającego, jak te śniadania dziadka tak niewinnie egoistyczne, stary na łóżku, świeży i uśmiechnięty, z serwetką pod brodą, przy nim wnuczka trochę wybladła od niedostatku, kierująca jego rękami, dająca mu pić, pomagająca mu jeść te wszystkie rzeczy zabronione. Wtedy ożywiony posiłkiem czuł całą przyjemność ciepłego pokoju. Gdy tymczasem na dworze była śnieżna zawierzucha, bijąca w okna, stary kirasyer przypominał sobie wyprawy północne, i po raz setny opowiadał nam o owym straszliwym odwrocie z Moskwy, gdy do jedzenia nie miano nic innego, jak tylko zmarznięte suchary i końskie mięso. „Czy rozumiesz mię, moja mała? Jedliśmy końskie mięso!" Rozumiała to bardzo dobrze! Od dwóch miesięcy nic innego nie jadła... Co dzień jednak z powracającem zdrowiem, nasze zadanie stawało się co raz trudniejszem. Znieczulenie wszystkich zmysłów, wszystkich członków, które nam dotąd tak było pomocnem, ustępowało coraz bardziej. Już dwa lub trzy razy straszliwy huk dział około bramy Maillot zmusił go do podskoczenia z uchem nadstawionym jak u psa myśliwskiego; trzeba było wymyśleć nowe zwycięstwo Bazaina i salwy, które z tego powodu bito w Inwalidach. Za drugim razem, gdy posunięto jego łóżko bliżej do okna — zdaje mi się, że to było we czwartek Buzenwalski — ujrzał gwardyą narodową, która się niedaleko od okien zbliżała.

— Co to za wojsko — zapytał poczciwiec — i słyszeliśmy jak mruczał: źle się trzymają, źle się trzymają! Zrozumieliśmy, że od tej chwili, trzeba było być dardzo ostrożnym. Na nieszczęście nie zdołano tego uczynić.

Pewnego wieczora, gdym przybył do chorego przybiegła do mnie wnuczka zmieszana: „Już jutro oni wchodzą" — rzekła mi. — Czy pokój dziadka był otwarty?

Faktem jest, że tego wieczora miał jakiś nadzwyczajny wyraz twarzy. Może słyszał cośmy mówili. Lecz my mieliśmy na myśli Prusaków, a poczciwiec myślał o Francuzach, o tem tryumfalnem wejściu, którego od tak dawna oczekiwał, z Mac-Mahonem stąpającym po kwiatach, ze swym synem obok marszałka, a on stary, na balkonie w pełnym uniformie, jak pod Lutzen, salutujący podziurawione sztandary i orły czarne od prochu... Biedny ojciec Jouve! Wyobrażał sobie zapewne, że nie chciano go dopuścić do zobaczenia defilady wojsk francuskich, aby uniknąć zanadto wielkiego wzruszenia. Więc też nikomu o tem nie mówił; lecz nazajutrz w chwili, gdy bataliony pruskie trwożliwie wchodziły na długą drogę, która prowadzi od bramy Maillot ku Tuileriom, okno u góry otworzyło się powoli, i pułkownik ukazał się na balkonie w hełmie, pancerzu i pełnym uniformie starego kirasyera. Nie mogę sobie wytłumaczyć, jaki wysiłek woli postawił go tak na nogi i dozwolił mu się ubrać. Stał tam prosto na balkonie oparty o balustradę, dziwiąc się, że ulice tak szerokie, tak nieme, firanki w oknach zapuszczone, Paryż wyglądający grobowo jak wielki szpital, wszędzie chorągwie lecz takie dziwne, całe białe z czerwonemi krzyżami, i nikogo, któryby wychodził na spotkanie naszych żołnierzy.

Przez chwilę zdawało mu się, że się myli... Lecz nie! Tam za łukiem tryumfalnym słychać było jakiś hałas pomieszany i widać czarną linię, posuwającą się naprzód... Potem, powoli zaświeciły ostrza na hełmach, zaczęto bić w małe bębny z pod Jeny i pod łukiem Gwiazdy, huknął marsz w takt ciężkiego kroku .. od dział i brzęku szabel, marsz tryumfalny Schuberta!...

Wtedy, wśród grobowej ciszy na placu usłyszano krzyk, krzyk straszliwy: „Do broni!... Do broni!.. Prusacy." I czterech hułanów z przedniej straży mogło widzieć u góry na balkonie wielkiego starca z wyciągniętemi ramiony, upadającego..

Tą razą pułkownik Jouve umarł naprawdę!

*) Porażenie połowiczne.

Od Redakcyi.

Wny Pan D. w Stanisławowie. Tomik I. „Spiewnika polskiego" otrzymają wszyscy prenumeratorowie *Tygodnia*. Druk jeszcze nie jest ukończonym.

Treść Nr. 25.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.